Nr. 16. Lwów, Niedziela dnia 16. Kwietnia 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XV.

Nauka wymowy w szkołach.

Słynęli niegdyś Polacy w Europie całej z pięknej wymowy tak we własnym jak i w obcych językach. Nadzwyczaj rozwinięte życie konstytucyjne, jakiego nam inne narody pozazdrościć mogły, liczne zebrania szlachty na sejmikach powiatowych, wojewódzkich, sejmach powszechnych, publiczne rozprawy sądowe w trybunałach, wyrobić musiały tradycję wymowy, tem bardziej, że szlachta cała kształciła się na łacinie, gdzie tak znakomite miała wzory politycznej i sądowej wymowy. Z upadkiem politycznego narodu, kiedy życie publiczne zamarło, zaginęły z czasem te tradycje, szczególniej gdy od zniesienia konstytucji Królestwa kongresowego po upadku powstania z r. 1830, nie mieliśmy już nigdzie otwartej dla siebie publicznej trybuny. Dzisiaj, gdy w tym tutaj zakątku Polski zapanował system reprezentacyjny w gminie, powiecie, kraju i państwie, gdy mamy wolną w zgromadzeniach i stowarzyszeniach trybunę, gdy w sądach karnych mamy jawne i ustne ostateczne rozprawy — nieraz uczuć nam się daje brak dobrych mowców. Brak — bardzo dotkliwy. Nie wystarcza bowiem w tem życiu publicznem sama choćby najgruntowniejsza znajomość przedmiotu rozpraw, i najsilniejsze nawet przekonanie o słuszności sprawy. Nieraz najlepsza sprawa upada dla tego tylko, że była źle broniona, że nie znalazła mowcy, któryby umiał ją poprzeć całą siłą argumentów i potężnej wymowy.

Poeta rodzi się — mowca się wyrabia, powiedział Rzymianin, i słusznie. Bo jakkolwiek niewątpliwie i do wymowy potrzeba nieco wrodzonego talentu, jednak o wiele więcej potrzeba tu pracy, ćwiczenia, studjów, aniżeli samego talentu, który bez usilnej pracy nigdy się nie wyrobi a często zmarnieje zupełnie. Sama rutyna, sama wprawa, jakiej nabyć można przez udział w życiu publicznem, nie może tu wystarczyć — choćby zresztą i dla tego tylko, że w życie to nie wchodzi się żeby się dopiero uczyć, ale żeby działać, że zatem trzeba już przynieść tam ze sobą wyrobione te warunki, które dla biorącego w niem udział są niezbędne.

Szkoły publiczne — które mają wykształcać przyszłych obywateli kraju — powinneby i w tym kierunku rozwinąć pewną działalność. Dawniej wymowa była osobnym przedmiotem nauki. Dając jednak pewne z góry narzucone prawidła wymowy, czerpane z wzorów klasycznych, które jako szczyt wszelkiej doskonałości uważano, chybiała o tyle celu, że zanadto krępowała ucznia temi regułami, co nigdy nie może być pomyślnem dla rozwoju jakiegokolwiek talentu. Nie taką też naukę wymowy mamy na myśli, ale żywą, praktyczną. Rola główna przypada tu nauczycielom języków, szczególniej polskiego. Od pierwszych klas szkół średnich powinni nauczyciele baczną zwracać uwagę na sposób wysławiania się uczniów, usuwać wszelkie wady w wymowie, powtarzanie się itp. i staranniej kształcić deklamację wierszy, co nie jest bez korzystnego wpływu na wymowę. W ostatnich zaś dwóch klasach byłoby bardzo pożądanem zaprowadzenie ćwiczeń ustnych obok piśmiennych. Temat winien być zadany na niezbyt długi czas przed samem ćwiczeniem, ażeby uczniowie nie mieli czasu wyuczać się na pamięć. Nie wyznaczać naprzód tego, który ma rzecz wprowadzać, lecz owszem niech się każdy uczeń przygotuje. Po wprowadzeniu przedmiotu przez jednego z nich, może się rozpocząć rodzaj rozprawy, w której każdemu wolno czynić zarzuty, a innym odpowiadać na nie. Nauczyciel sam — jeżeliby z grona uczniów nikt zarzutu nie podniósł, może rzecz ożywić przez zapytanie: cóż byś odpowiedział, gdyby ci to lub owo zarzucono. Można zresztą, żeby nie zabrakło przedmiotu zadać na jedno ćwiczenie kilka tematów do wolnego wyboru. Jeżeli nauczyciel potrafi zręcznie ćwiczenie takie przeprowadzić, jeżeli sam ożywi rozprawę, jeżeli będzie pilnie zwracał uwagę na wszelkie usterki, których się mowca ma wystrzegać, będzie usuwał wszelką rozwlekłą i do przedmiotu nienależącą gadaninę, a przyzwyczajał do treściwego mówienia i ścisłego trzymania się rzeczy, jeżeli na każde niejasne wyrażenie zwracać będzie uwagę, przypominając uczniom iż pierwszym warunkiem dobrej wymowy jest jasność wykładu— niewątpliwie ćwiczenia takie mogą obudzić nie jeden talent wymowy i dać mu podstawy, na których się później sam już wyrabiać i rozwinąć zdoła. Uczniowie ostatnich dwóch klas szkół średnich, w wieku zazwyczaj wyżej 16 lat, są już dość dojrzali, ażeby podobne ćwiczenia z nimi przeprowadzać można.

Dla nauki języka nie byłyby te lekcje stracone, owszem wielce dla niej korzystne, tutaj bowiem nauczyciel ma tak samo jak przy ćwiczeniu pisemnem sposobność poprawiania usterek gramatycznych i stylistycznych, a sama ambicja ucznia nakaże mu wystrzegać ich się, gdy rzecz się w obec wszystkich kolegów odbywa. Byłyby zaś bardzo pożyteczne pod względem pedagogicznym, jeżeli nauczyciel potrafi robić dobry wybór przedmiotu.

Nie należy też zapominać i o wzorach wymowy. Wypisy polskie powinneby podawać celniejsze wzory wymowy polskiej — przy czytaniu zaś autorów rzymskich i greckich należałoby unikać tego, co dawniej praktykowano, że n. p. z Cicerona brano jednę mowę, i przeczytawszy ją do połowy w drugiem półroczu zaczynano drugą, żeby jej także nie dokończyć. Lepiej wybrać jednę krótszą mowę i przejść całą, aniżeli dawać urywki, z których uczeń o budowie mowy nie zdoła sobie wyrobić wyobrażenia.

Rzuciliśmy kilka tylko pobieżnych uwag; rzeczą fachowych pedagogów będzie sprawę tę w szczegółach obmyśleć. Sądzimy że szkoły nasze, które nie mają kształcić automatów, mechanicznie pewną specjalną czynność wykonujących, ale obywateli w pełnem tego słowa znaczeniu, wezmą na siebie i tę część obywatelskiego wykształcenia, dla życia publicznego tak bardzo doniosłą.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

II.

Jeden z lepszych, niedawno zmarłych powieściopisarzy i dramaturgów powiedział kiedyś, że niczem są trudności powieści, w porównaniu z trudnościami dramatu. „W powieści, — są jego słowa — można doprowadzić do katastrofy, w której Amalja mdleje, i potem pisać o czem innem kilka rozdziałów, a następnie zacząć od przypomnienia czytelnikowi, żeśmy Amalję pozostawili omdlałą. W dramacie tego zrobić nie można, tam bezpośrednie konsekwencje każdego wypadku natychmiast po nim następować muszą.“

Przekonywamy się w tej chwili, że ta różnica pomiędzy powieścią i dramatem napozór tak trafnie upatrzona, nietylko w rzeczywistości nie istnieje, ale że nawet łatwiejszem może byłoby nasze zadanie, gdybyśmy dramat, a nie powieść kreślili. Zapuścilibyśmy zasłonę na ostatnią scenę poprzedniego aktu, a że dalszy przebieg naszej powieści dzieje się znacznie później, jak to już powiedzieliśmy, więc widz dramatu dowiedziałby się tylko z jakiego opowiadania innej osoby, że Konstancja w międzyakcie jeździła nie do męża ale do dziadka.

W powieści przecież uczynić tego nie możemy. W powieści niepodobna zapuścić zasłony zostawiając Konstancję prawie bezprzytomną nad zwłokami Józefa, wzywaną przez dwa równie święte obowiązki w dwie przeciwne strony świata, w powieści trzeba wykazać koniecznie dlaczego ona tak postąpiła a nie inaczej, dlaczego wbrew słowom Pisma: „i przyłączy się do ciała,“ wbrew, jakby purytanie powiedzieli, przysiędze złożonej przed ołtarzem „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci,“ wbrew silniejszemu może z dwóch pociągów swoich wewnętrznych, pomimo prawdopodobieństwa, że umierającego dziadka już nie zastanie na tej ziemi, pomimo innego prawdopodobieństwa, że rannego męża może także utracić, pomimo nieskończenie większych trudów połączonych z podróżą, pojechała nie do Galicji, gdzie był jej mąż, lecz do jakiegoś Werchniewyżnieszowogoroda czy Niżniemałopetrozawodska, w którym na wygnaniu przebywał rotmistrz. Możnaby uzasadnienie tego jej postępku odwlec o kilka rozdziałów, zawsze przecież uzasadnić go trzeba, więc najlepiej będzie jeśli to odrazu zrobimy.

Konstancja wszystkie względy jakie na jej wybor wpłynąć były powinne, rozstrzygnęła nie rozumowaniem, ale uczuciem. Nawet sama przed sobą nie umiałaby może wytłumaczyć dlaczego, ale czuła, że tak zrobić była powinna, my więc za nią musimy motywy jej postępowania w głębi jej duszy odszukać. Dla niej dwa obowiązki które ją powoływały, jeden w jednę, drugi w drugą stronę, były równie święte, i sądziłaby że bluźni im obudwu, gdyby je miała ważyć i porównywać. Za którym z nich iść należało, mówił jej jakiś głos wewnętrzny, taki sam prawie jak głos instynktu, który każe zamknąć oczy lub ręką się zasłonić przed zagrażającym nam ciosem.

— Trzeba jechać do dziadka... trzeba jechać... — to były pierwsze słowa, które się z ust jej wydobyły, gdy spostrzegła że Józef nie potrzebuje już opieki i starań ludzkich.

Tego postanowienia nie zmieniła aż do końca, lubo zaraz w chwilę potem wydarło się z jej ust bolesne, rozpaczliwe:

— A Stanisław?!...

Nie straciła chwili czasu na rozmyślanie. Rwało się jej serce w dwie strony, ale wszystkie przygotowania do podróży miały tylko jeden kierunek. Na tłoczące się do jej głowy myśli, że powinnaby jechać do męża, odpowiadała gorączkowo, niecierpliwie, półgłosem, jakby chciała tamten ledwie dosłyszalny zagłuszyć:

— Nie! Nie!... trzeba jechać do dziadka!... do dziadka!...

I rzeczywiście, zdaje nam się, że każdy człowiek z sercem przyzna, iż trafnie pojęła swój obowiązek.

Dziadek był jej wszystkiem. Jemu winna była wychowanie, wykształcenie swej duszy, jemu zawdzięczała majątek, i z jego ręki otrzymała męża. Gdyby nie on, gdyby nie jego święta, a tak zgodna z jej własnem pragnieniem wola, nie miałaby ona teraz żadnego prawa spieszyć z ratunkiem i pociechą temu którego kochała. On jej dał prawo nazywania tego wybrańca swoim, dzielenia jego boleści i radości, jego niebezpieczeństw, trudów i powodzeń. Dał jej to prawo nieproszony i niepytany, zgadł jej myśli, odczytał jej duszy tajniki, odkrył w nich prawdę i tę prawdę w rzeczywistość zamienił. Wszystkich zatem należało poświęcić dla męża, tylko nie jego.

Dziadek umierał, mąż był ranny i może umierał także. Obaj oni, gdyby ich się spytać mogła Konstancja, posłaliby ją w różnych kierunkach. Znała ich obu pod tym względem. Mąż powiedziałby:

— Powinnaś zamknąć powieki konającemu dziadkowi.

A dziadek powiedziałby:

— Miejsce twoje przy łożu umierającego męża.

Wola ich obu była dla niej zarówno święta, ale żeby była wprost przeciwną, więc decyzja należeć mogła tylko do niej samej. Rozsądni ludzie z dwojga złego wybierają gorsze, szlachetne dusze z dwóch równie koniecznych poświęceń wybierać winne boleśniejsze.

A któreż tutaj było boleśniejszem?...

Konstancja kochała dziadka miłością córki, a męża miłością żony, znała więc oba te rodzaje miłości i wiedziała o tem, że druga żywsze, słodsze daje roskosze, porzeba było zatem tę poświęcić. Kazało tak, powtarzamy, nie rozumowanie ale uczucie.

Rozumowanie może powiedziałoby inaczej.

Sztafeta od dziadka szła półtora tygodnia, a trzy tygodnie najmniej trzeba było jechać, ażeby się dostać do niego. Jeżeli był w niebezpieczeństwie wysyłając depeszę, to po miesiącu, czyli w chwili kiedy przybyć mogła Konstancja albo już zamknął na wygnaniu powieki, albo wyszedł z niebezpieczeństwa. W każdym razie trzy dni lub tydzień nawet zwłoki w takiej podróży nie znaczyło tak wiele, a przez te dni kilka lub przez tydzień można było dostać się do Stanisława i przekonać się o jego stanie. Dlaczegóż więc z tych kilku dni nie skorzystać? Wszakże samo przygotowanie do podróży w tak odległe strony, a właściwie samo uzyskanie paszportu, bez którego w państwie moskiewskiem i w takich czasach ruszyć się nie było podobna, zabrać mogło te dni kilka.

Byłoby to jednakże rozumowanie egoizmu, rozumowanie wsparte chęcią uczynienia tak a nie inaczej, bez względu na to, że gdyby tak postąpiła Konstancja, to już zapewne zamknęłaby sobie drogę do spełnienia drugiego obowiązku, o którym instynkt uczucia mówił jej że pominiętym być nie może. Miałażby siłę oderwać się od rannego męża, gdyby się raz znalazła przy jego łożu? Miałażby siłę wiedząc, że ma w dwóch stronach świata dwóch ludzi ukochanych równą choć niejednakową miłością, rzucić jednego a spieszyć do drugiego, wiedząc że przez tygodnie całe będzie w podróży, daleko od nich obu? Nie, takiej siły przypuszczać nie mogła ani ona sama w sobie, ani nikt w niej. Nie wchodziła więc z sobą w żadne targi podstępu, pełniła obowiązek jak umiała, nie pytając czy z jej serca przez to, że go wypełni, upłynie więcej lub mniej krwi.

I jeszcze jeden powód, który juryści nazwaliby formalnym tylko, przemawiał za jej postanowieniem. Od dziadka było wyraźne życzenie, żeby przyjeżdżała, o mężu była tylko wiadomość. Woli swojej on nie objawił, i trzeba było spełnić tę, która objawioną została, nie podstawiając innej własnym domysłem, któremu dosyć cugli popuścić, żeby wszelki obowiązek zniweczył.

Takie były w duszy Konstancji motywy jej postąpienia, motywy w których rozbiór nie wdawała się wcale, które czuła tylko i które mimo niej nadawały kierunek jej woli.

Przedsięwzięła jechać do dziadka.

A niełatwe to było w owe czasy i w jej położeniu przedsięwzięcie.

Zaraz nazajutrz po wyparciu oddziału pana Bartłomieja do Galicji, rozsrożyła się represja moskiewska w sposób najgwałtowniejszy. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o tym fakcie, jenerał gubernator podpisał rozkaz ściągnienia kontrybucji od wszystkich polskich mieszkańców całej gubernji. Nie zapłaciwszy tej kontrybucji nie można było uzyskać paszportu, a zapłacić jej dobrowolnie nie było można, gdyż sprzeciwiał się temu wyraźny rozkaz Rządu Narodowego, którego Konstancja nie ważyłaby się przełamać. Należało owszem wszelki możebny opór stawić jej przymusowemu ściąganiu.

Nie dosyć na tem. Jak tylko rozeszła się wieść, że w okolicy nie ma powstańców, i że nie wrócą, bo są przez rząd sąsiedni rozbrojeni i zamknięci, Iwany Iwanowicze podnieśli zaraz głowy do góry. Zaczęły się

śledztwa i poszukiwania, najzawzięciej prowadzone u tych, od których można było jakąś łapówkę wycisnąć. Konstancja wiedziała, że będzie na nie narażoną podwójnie. Męża jej nie było, więc będą pytali o niego. — w domu jej umarł ranny powstaniec, więc będzie pociąganą do odpowiedzialności dla czego mu umrzeć u siebie pozwoliła, a do tego przyłączy się śledztwo z powodu dawniejszych wypadków, z powodu owej pierwszej nocy gradowieckiej, śledztwo, którego podczas walki z powstańcami władze moskiewskie prowadzić nie miały czasu.

Tyle trudności żelaznym pierścieniem otaczało Konstancję, gdyż z każdą z nich wiązała się niemożność wyjazdu. Chcieć się z nich wywikłać byłoby to poddać się im, nie pozostawało nic innego tylko bohaterskiem wysileniem je przełamać.

I to przeczuła Konstancja i na to bohaterskie wysilenie znalazło się w niej dosyć siły.

Kiedy wieczorem tegoż samego dnia wkroczył do Gradowiec znany nam z pierwszych części tej powieści sowietnik Paweł Onufryjewicz von Pfeiler, ażeby przy pomocy kompanji sołdatów ściągać kontrybucję z miasteczka, Konstancji nie było już w miasteczku.

Pojęła, że niepodobna czekać, i uprzedziła mające się nagromadzić nieprzełamane przeszkody.

Korzystając z ostatniej wolnej chwili wyjechała do Łaszczyniec, do pana marszałka Szóstackiego.

Pan marszałek był właśnie pod wrażeniem świeżo otrzymanej wiadomości o stanowczem zwycięstwie odniesionem nad powstańcami. Zamknął się więc w swoim gabinecie i cieszył się. Należy to wyraźnie powiedzieć na jego korzyść, że nie miał odwagi cieszyć się jawnie. Była to zresztą pierwsza jego radość od dosyć długiego czasu, bo od chwili zmartwienia, którego mało nie przepłacił chorobą na wiadomość, że jego syn jedyny dostał się do powstańców i brał udział w walce przeciw istniejącemu porządkowi, spotykały pana marszałka same troski, kłopoty i niepokoje. Musiał jak Temis starożytna z zawiązanemi oczyma trzymać szale sprawiedliwości swojej w swych rękach i baczyć z jak największą uwagą, żeby się która z nich nie przeważyła niepotrzebnie. Musiał postępować tak, żeby nie zadrzeć ani z powstańcami ani z rządem, a jedni i drudzy naprzemiany odwidzali Łaszczyńce i gotowi byli się urazić o okazywaną drugim gościnność. To też w skutek tych kłopotów w inwentarzu włosów zdobiących czaszkę pan marszałka okazał się znaczny ubytek. Niełatwa to rzecz na dwóch ramionach nosić płaszcz!

Teraz po porażce powstańców mniej duszno się zrobiło panu marszałkowi w jego pałacu. Jako statysta ze stanowiska marszałkowskiego znający siły żywotne powiatu, nie przypuszczał pan marszałek, żeby się w nim mogli pojawić nowi, obawiał się tylko tych zuzüglerów z Galicji, którzy, pomimo że się tak często dawali wyławiać nim do granicy doszli, zawsze jednak grozili, że lada dzień wtargną, a wtedy bieda będzie z Moskalem. No, ale to było niebezpieczeństwo odleglejsze, można było przez chwilę odetchnąć swobodniej i z tego marszałek cieszył się w swoim gabinecie.

Na pogodnem niebie jego radości miała się jednak wkrótce ukazać chmurka. Zaanansowano przyjazd pani Wydrzyny i zasępiło się jego marszałkowskie oblicze Nie lubił on nazwiska męża Konstancji, raz dlatego, że przypominało mu ono „mezaljans,“ dzięki dziwactwu starego rotmistrza popełniony przez jego kuzynkę, a powtóre dlatego, że brzmieniem swojem przypomniało słowo „wydrzeć“ i stawało się powodem jakiegoś niepokoju w sumieniu pana marszałka, bo usłyszawszy je najczęściej półgłosem powtarzał:

— Wydrzeć!... wydrzeć!... przecież ja trzymam się ściśle w granicach prawa i nic nikomu wydrzeć nie myślę.

Kazał prosić Konstancję do salonu i wyszedł z gabinetu do niej.

— Cóż sprowadza panią dobrodziejkę, — zawołał wchodząc — cóż sprowadza?.... zaprawdę dziwić się można i ciekawić... taka niespodziewana i tak rzadka wizyta...

— Nieszczęście mnie sprowadza, panie marszałku... mąż mój...

— Wiem... wiem, — przerwał pan Szóstacki — wyparty zagranicę z oddziałem. To smutne... Ale ja zawsze mówiłem, że niepotrzebnie się w to mięszał... Wojna należy do żołnierzy z powołania, nie do...

Ukąsił się w język i zamilkł. Podejrzewamy go mocno, że chciał powiedzieć:

— Nie do garbarzy!

— Wojna należy do każdego, kto ma w sercu miłość ojczyzny — odpowiedziała Konstancja — wszakże i syn pański...

Marszałek obejrzał się niespokojnie.

— Psst! pani — rzekł — w obecnem położeniu lepiej o tem nie mówić...

— Więc nie mówmy... dziadek mój....

Marszałek nastawił ucha ciekawie.

— Rotmistrz!... cóż rotmistrz?...

— Przysłał sztafetę... umierający...

Pan Szóstacki jakiegoś dziwnego ale niezbyt nieprzyjemnego doznał uczucia.

— Ha! to smutne, bardzo smutne — rzekł — ale... cóż ja na to poradzę? — dodał po chwili.

— Ja potrzebuję wyjechać.

— Dokąd, pani? do męża?

— Nie... do dziadka.

— Ależ to szaleństwo!

— Może, ale to obowiązek...

— Ha! jeżeli tak pani uważasz, to jedź pani... przykro mi wyznać, ale widzę że i w tym względzie moja pomoc na nic się nie zda.

— Owszem, ja właśnie tylko na pana liczę...

— W czem pani?... bo jeśli idzie o pieniądze, to tak jestem zdarty kontrybucjami i podatkami narodowemi...

— Trzeba było jednych albo drugich nie płacić.

— Ba! łatwo pani mówić trzeba... miałbym się z pyszna, gdybym poszedł za tą radą.

— Zresztą nie o pieniądze tutaj idzie.

— Tylko o co?

— O paszport.

— A! — otworzył usta marszałek, nie mogąc pojąć coby on wspólnego mógł mieć z paszportem.

Konstancja w krótkich słowach opowiedziała mu swoje położenie, grożące śledztwa i niemożność otrzymania pozwolenia wyjazdu.

Marszałek słuchał i w serce jego zaczęła wstępować trwoga. Sama obecność w jego domu kobiety zagrożonej taką odpowiedzialnością w obec rządu, groziła i jemu odpowiedzialnością. Nie zastanowił się nad tem gdy ją przyjmował, i teraz chciałby się jej pozbyć jak najprędzej bądź co bądź. A tu jeszcze ta kobieta przychodziła do niego z jakąś prośbą. Położenie biednego marszałka komplikowało się, zimny pot zaczął występować mu na czoło.

— Wszystko to dobrze, a raczej wszystko źle — rzekł gdy skończyła — ale jakimże sposobem sądzisz pani, że ja mógłbym się przyczynić do uzyskania dla niej paszportu. Gdybym się chciał wstawić za panią zgubiłbym siebie i całą przyszłość mego rodu, a pani bym nie dopomógł.

— Nie żądam od pana marszałka tak wielkich ofiar — odpowiedziała z godnością Konstancja, — żądam rzeczy nadzwyczaj prostej.

— Naprzykład?

— Niech mi pan marszałek każe wystawić *wid* jako jednej ze swych poddanek udającej się w interesach kupieckich w głąb' Rossji. Słyszałam, że takim *widem* poświadczonym przez władzę miejscową można podróżować gdzie się podoba.

— To prawda, ale w takim razie jest to ucieczka...

— Tak... jest to ucieczka.

— Narażasz pani na konfiskatę wszystko co macie.

— Nie wszystko, panie marszałku... to co mieć mamy zabezpieczył mój dziadek powierzając panu marszałkowi...

Pan Szóstacki znowu ugryzł się w język, widocznie nie o tem myślał.

— To prawda, to prawda — rzekł, jąkając się,—ale zawsze i to co macie oprócz tego zawsze coś warte.

„To, tego,“ „tego, to,“ plątał się pan marszałek, nie chcąc wyraźnie powiedzieć o co chodziło. Gdyby w tej chwili Konstancja wspomniała wyraźniej o Zaskalu, sądzimy, że nie zrobiłaby panu marszałkowi wielkiej przyjemności tem przypomnieniem.

Ale jej nie sprawy majątkowe były na myśli.

— Nie mam czasu zastanawiać się nad tem, — odpowiedziała — proszę pana marszałka o taki dokument i wyjeżdżam.

— Jakto? dziś? zaraz?

— Dziś, zaraz...

Przyjemnie się zrobiło panu marszałkowi na tę stanowczą odpowiedź.

— Energiczna z pani kobieta —rzekł— pozazdrościć małżonkowi... Ale, — dodał po chwili — cóżbyś pani zrobiła gdybym ja nie mógł wystawić takiego dokumentu?...

— Prosiłabym pana marszałka o ukrycie mnie tu w pałacu, bo nie mogę przecież wracać do Gradowiec, gdzie mnie taka odpowiedzialność czeka — odrzekła z determinacją Konstancja.

*

Wiedziała jak to było skutecznem. Marszałek aż podskoczył.

— A cóż znowu za przypuszczenie! — zawołał — gdzieżbym ja odmówił mojej kuzynce takiej drobnej przysługi... zaraz... natychmiast każę przygotować dokument.

To mówiąc, wyszedł.

Konstancja patrzyła za nim przez chwilę i uśmiechnęła się boleśnie. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nie przeczymy, że Grażyna Mickiewicza, na tle czasu swego w mistrzowskich odmalowana rysach, reprezentuje postać bardzo rycerską. Pozwolimy sobie jednak z powodu Basi uczynić jednę uwagę. W sądzie o wszelkich utworach sztuki, jeżeli takowy ma być sprawiedliwym, wypada koniecznie stanąć na stanowisku istotnych intencyj autora. Bez tej podstawy, najracjonalniejsze nawet teorje chybić muszą swego celu i w ostatku do fałszywych prowadzić rezultatów. Owóż co do *Dziewczęcia z Sącza* nie da się zaprzeczyć, że Romanowski obok uwydatnienia bezgranicznej potęgi miłości, która szczególnie w naturze niewieściej silniejszą jest nad wszelkie inne uczucia, miał w zamiarze — i to przedewszystkiem — okazanie owej opatrznej myśli Bożej, która nieraz słabe istoty obiera sobie za narzędzia do spełnienia wielkich czynów. W takiem pojęciu uważana Basia Romanowskiego, mimo swojej niewieściej natury i tego wszystkiego, co stąd w koniecznem wypływa następstwie, jest istotnie bohatyrką w całem słowa tego znaczeniu. Gdyby nie jej odkrycia, na cóż by się były przydały owe plany rozumnych głów Sądeckich?

Zarzuci ktoś, że w tak określonej przez poetę sytuacji, działa jako jeden z głównych motywów także pewna cudowność, w dziedzinie sztuki już dawno uznana za środek zużyty. Na stwierdzenie tego o czem tu wspominamy, przypomnijmy sobie, że wnuka Janusza w chwilach największego wzburzenia wyobraźni, czuła jakby świadomie przekleństwo Matki Bożej ciążące nad sobą, a dopiero poświęcony szkaplerz Jacka i modlitwa starca nad jej głową przywróciły Basi przytomność i do stanowczych zeznań ją skłoniły. Motyw ten tutaj jednak wcale nie razi, jako wypływający z charakteru wieku, na którego tle powieść nasza się rozwija. Obrona Częstochowy i to wszystko, co się tam działo, miane było przecież w wyobrażeniu i rozumieniu współczesnych za akt szczególniejszej łaski Pani Niebios, królowej naszego narodu. Czemuż by więc jeden promyk tych cudów z Jasnej góry nie miał spaść miłościwie na skroń podkarpackiego dziewczęcia?... Powtarzamy raz jeszcze, że taki obrót zdarzeń w naszym utworze dla tych właśnie przyczyn znajduje swe zupełnie usprawiedliwienie.

Z liczby wprowadzonych postaci stoją na pierwszym planie Basia i Bartek. Około nich skupia się cała główna akcja opowieści, w ich ręku spoczywają najważniejsze sprężyny działania, stąd też obie role niezmiernej są wagi. Przyznać należy, iż obydwie te postaci mamy przed sobą wykończone w sposób prawdziwie mistrzowski. Psychiczna strona, oddana z całą prawdą, okazuje w poecie niepospolitego znawcę duszy ludzkiej; co się zaś tyczy technicznego opracowania znamionuje ono artystę wyższych zdolności. W drugiej linji stoi Oskar. Typ ten na czytelniku również zadowalające sprawia wrażenie. Wszystkie inne figury umieszczone są na trzecim planie obrazu, występując stosownie do wymogów utworu z większym lub mniejszym zakresem działania.

Mieszczańskie opowiadanie nakreślone jest na tle dziejowem. To wszystko, co powiada historja o wypadkach Sądeckich, w głównych a znanych punktach przytoczyliśmy już wyżej. W poemacie naszym spotykamy się jednak także z postaciami, których śladu podobno napróżno szukalibyśmy w zapiskach historycznych odnoszących się do owego wieku. Owóż co do tej kwestji oświadcza poeta w przypisku, że z pomiędzy osób „tylko Basia, Bartek, Janusz, Babka i Jacek są postaciami sfingowanemi, wszystkie zaś inne występują w roli i godności, jak je zachowały akta Sądeckie.“ To oświadczenie autora wyjaśnia sprawę historyczności naszego utworu w sposób uwalniający nas zupełnie od bliższego dochodzenia i rozjaśniania tej rzeczy. Pierwszorzędne typy Basi i Bartka, a nawet i Oskara— choć o tym ostatnim w powołanym dopiero cytacie nie masz wyraźnej wzmianki — powstały zatem, jak widzimy, jedynie w twórczej wyobraźni poety, a z niemi urósł także cały aparat opowieści, opierający się lekko na dziejowem podaniu Sądeckiem: „iż w pewnej dziewczynie miejskiej rozkochał się oficer dragonów *Pontusa de la Garde*.“ Na podstawie luźnych tylko i ogólnikowych wzmianek historycznych stanęła tedy w artystycznem wykończeniu cała budowa naszego poematu, kształtem wszelkich kreacyj poetyckich, które jeżeli czerpią z rzeczywistości, przetwarzać i uzupełniać koniecznie muszą surowy materjał. Zasługą poety jest to, iż domową że tak powiemy sprawę Sącza umiał szczęśliwie skojarzyć ze sprawą całego narodu. Jak *Panu Tadeuszowi* wojny Napoleońskie i połączone z niemi usiłowania oswobodzenia ojczyzny, jak *Marji* Malczewskiego krzyżowe boje z Tatarami wyższego użyczają znaczenia, tak na naszę powieść od cudownej Częstochowy i od miecza Czarnieckiego spływają jasne promienie wielkich zapasów narodu, jednocząc sprawę podkarpackiego miasteczka ze sprawą całego kraju.

Jeszcze jedna uwaga. Powiedzieliśmy wyżej, iż *Dziewczę z Sącza* nosi na sobie znamiona prawdziwie epickiego utworu. O ile to się ściąga do pojedynczych rysów naszej powieści, tego nie potrzebujemy jeszcze raz tutaj okazywać, rozpatrzywszy już dostatecznie wszelkie szczegóły. Radzibyśmy jednak zwrócić uwagę na charakter i naturę czasu, z którego zdarzenia nasze są wyjęte. Wiadomo, że materjału do epicznych opowiadań stosownego, nie każda dziejowa epoka dostarczyć jest w stanie. Ażeby się mogły wytworzyć prawdziwie bohatyrskie postacie, do tego potrzeba koniecznie pewnego, że tak powiemy wyjątkowego stanu w społeczeństwie. Otóż właśnie taką chwilę historyczną znajdujemy w wypadkach najazdu Szwedów za Karola Gustawa. Prawowity monarcha na wygnaniu, obce rządy acz zwycięskie, nie uznane. Społeczność wytrącona i wyrwana z karbów i form dotychczasowego politycznego życia, może stworzyć łatwo i stwarza postaci ze wszelkiemi znamionami bohatyrskości. I tu też tkwi właściwy pierwiastek eposowy naszego utworu.

Dziewczę z Sącza uważamy za najcelniejszą kreację Mieczysława Romanowskiego.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(Ciąg dalszy.)

Każde z nich na swój sposób chciało budować przyszłość ojczyzny, każde na swój sposób pojmowało przyszłe szczęście narodu. Oskarzano się wzajemnie i o przeszłość i o przyszłe dla narody zamiary. Winę upadku powstania przypisywano arystokracji, na jej sumienie składano brzemię klęsk poniesionych i ten fakt bolesny, że powstanie rozpoczęte z wojskiem 30 tysięcznem zwycięstwami, skończyło się dezercją (korpus Ramoriny) i złożeniem broni, gdy armja się podwoiła. Demokracji zarzucano ssanie różnych trucizn społecznych, rewolucyjnych, ku zagubie ducha dziejów narodu; zarzucano jej, że zatraca poczucie tego ducha — i w naród, obce mu, a szkodliwe wlać usiłuje pierwiastki. Arystokracji zarzucano, że królewską Polski purpurę poniewiera i plami w przedpokojach gabinetów ministerjalnych, że tę purpurę rozdarła w szmatę żebraczą i Polskę uczyniła żebrakiem monarchów. Demokracji nie przebaczano energji, z jaką zapisywała się pod sztandar rewolucji. Arystokracja wybiera sobie reprezentanta, naczelnika — który niejako królem moralnie zostaje, demokracja organizuje się w radę centralną i wojnę wypowiada protektorowi. Arystokracja posługuje się agentami, demokracja wysyła emisarjuszów. Pierwsi zawiązywać mają dyplomatyczne stosunki, drudzy: szerzyć ideę wolności ludu. Po środku rozwijało się zjednoczenie, z którego potem wyrosło: stronnictwo wojskowe.

Wszystkie te stronnictwa zgadzały się na jedno, to jest: pragnęły niepodległości ojczyzny, lecz w środkach do tego celu wiodących, różniły się stanowczo, a co najważniejsze: spierały się przedewszystkiem o przyszłe formy rządu i instytucji, o zasady, na jakich niepodległe społeczeństwo polskie ma się uorganizować. Ta walka o przyszłość zasad, była prawdziwie chorobliwem naśladownictwem walki o zasady, jaką niepodległe narody wewnątrz siebie toczyły. Tak monoteci francuscy, jak i filozofowie niemieccy sądzili, że konstytucja narodu, że jego organizacja, może wyskoczyć z tego lub owego systemu politycznego i filozoficznego, jak Minerwa z głowy Jowisza. Stawiano zasady a priori, teoretycznie, i we formy według nich ukształcone, wciskano przemocą społeczeństwo. Badania nad powstaniem prawa publicznego w Europie, przyjęły się dopiero w późniejszych czasach, gdy przetrawiła się gorączka wstrząśnień społeczno-politycznych i filozofji spekulacyjnej. *Esprit des lois* Monteskiusza, studja prawno-polityczne Gneista, prace Johna Stuarta Milla, a posteriori z historji życia i walk społecznych czerpiące naukę — dopiero w niedawnych czasach zostały przedmiotem studjów i wytworzyły przekonanie, że organizacja

społeczna i polityczna narodu, może być jedynie organicznym jego produktem, jak język, którym on wyraża myśli swoje i zaspakaja potrzeby intelektualne.

Nie można atoli winić owej doby dziejów, że była taką, a nie inną, że wyrosła z ducha czasu, który ją ożywiał. Że zaś emigracja nasza dała się porwać tym prądom, które powinne były płynąć sobie podług woli, po za sprawą polską — pochodzi ztąd, że coraz dłużej przebywając w obczyźnie, coraz bardziej traciła czucie z krajem, z narodem, coraz więcej traciła główny cel z oka, w środkach samych, cele już sobie stawiając. Nie dziw więc, że:

„O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów
Za późnych żalów, potępieńczych swarów.“ *)

I dalej też mówi Mickiewicz:

„Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!“
— — — — — — — — — — — —
„Nie dziw, że ludzi, świat, siebie obydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich
Plwają na siebie i żrą jedni drugich.“ **)

Był to więc czas przejścia dla Europy, a czas rozstroju dla emigracji. Nie dziwota, że czas taki wywołuje obok ożywczych wieszczeń poetów, obok messjanicznych filozofów, także chcących przeobrazić społeczeństwo proroków — i messjaszów, którym dobre chęci poprawienia istniejących stosunków wydają się dostatecznemi, aby je istotnie poprawić.

Do różnych prądów, które jakby elektryczną mocą rwały z sobą umysły całej niemal ówczesnej Europy, policzyć należy ducha literatury niemieckiej i angielskiej. Nie wspominaliśmy o tem, gdy była mowa o poezji romantycznej u nas, bo nie chodzi nam tu o stronę li estetyczną — retoryczną poezji, ale o ten posiew myśli nowych, jaki z niej spadał na bieg czasu, na umysły. Negacyjny duch Byronizmu, sentymentalizm zrodzony z Werterowskich cierpień, jak powódź wciskały się w głowy i serca, i jak powódź porywały z sobą na kipiącej fali myśli i uczucia.

Byronizm, a polski messjanizm w poezji, są jakby dwoma przeciwnemi skutkami, jednejże przyczyny. Znajdują one umotywowanie swoje w historji owych czasów, w owem zniechęceniu społeczeństwa europejskiego, do narzuconych mu stosunków. Byronizm jako negacja, obala i kruszy one stosunki, one porządki społeczne, a messjanizm w sposób dodatni tuż za nim się zjawia i na gruzach starego — nowe stawia światy. Ten czysto niemiecki „Weltschmerz“ werterowski, wybornie dostraja się do stosunków ówczesnych, więc też posiłkowany przezeń byronizm przestał być właściwem angielskiego poety znamieniem, rozrastając się w znamię czasu, wyciskając na nim swe piętno.

Zrobilibyśmy na tem miejscu uwagę, że posądzenie wielu poetów naszych o naśladownictwo Byrona, o przejęcie się nim zupełne, jest poniekąd tylko słuszne. Byronizm jest wcieleniem się w poezję negacji, tkwiącej na dnie ówczesnego społeczeństwa. Byron pierwszy wziął tak potężny zapęd w tym kierunku, a Słowacki nie brał gotowej rzeczy od Byrona, lecz brał ją także, gdyby powiedzieć wolno: z powietrza, którem wówczas oddychała Europa. Temu kierunkowi poezji zostanie nazwa byronizmu, bo Byron najpotężniejszym był tegoż reprezentantem i pierwszy kroczył tą drogą, — ale ci inni, co szli za nim i przy nim, szli tam własną mocą, z własnego zapędu, skutkiem warunków własnej natury poetyckiej. (C. d. n.)

*) Dzieła A. Mickiewicza. Paryż 1872. T. III. str. 338. (Wstęp do Pana Tadeusza.)

**) Tamże.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

U furty klasztornej siostra zakonna oddała mi podarunki od przełożonej: dwa koszyki z łyka trzciny indyjskiej, wachlarz z kory bambusu, drugi z korzenia, wydający zapach przy poruszeniu, kilka bransolet, różaniec z kości i siatkę od much z surowego jedwabiu. Każdy z tych przedmiotów musiał mieć jakieś symboliczne znaczenie dla mnie obce, a chociaż mój towarzysz mógł mię objaśnić, nie chciałem jednak pytaniami jątrzyć wspomnień rozbudzonych.

W dziedzińcu powierzyłem Longlemu przedmioty od przełożonej i wyszliśmy z klasztoru: Cambua-Tsaya ze mną, służba poszła naprzód.

Wszedłszy na pagórek obróciłem się, rzucając raz jeszcze spojrzenie na klasztor zakonnic; towarzysz mój zatrzymał się także ale się nie obejrzał.

— Człowiecze! — zawołałem chwytając jego rękę — z kąd bierzesz tę nadludzką siłę... czy twoje serce zamieniło się w bryłę lodu a dusza zkamieniała?

— Zkamieniała mówisz... o nie, serce moje jest tam — rzekł głucho wskazując ręką na klasztor — i przyjdzie dzień w którym dusza moja ją odnajdzie, a wtenczas już nas nic nie rozłączy.

Nieziemskie wrażenie odmalowało się w jego oczach; zdawał się tonąć w niebiosach przyszłości. Chwyciłem go w ramiona i przycisnąłem do serca; łza zakręciła się w ciemnej źrenicy, ale w tej chwili tłumiąc głębokie westchnienie rzekł tonem bezdźwięcznym.

— Booghuy, zapomnij o mnie, błagam cię! — I cóż miał więcej powiedzieć?

Doszliśmy w milczeniu do Kyoungu; w chwili rozstania zwrócił się jeszcze do mnie i przemówił:

— Przyszlę na twoje rozkazy Booghuy osobę, która cię oprowadzi i pokaże wszystkie szczegóły zawarte w parku. — Wymawiając te słowa chciał odejść, ale powodowany uczuciem, którego nie mógł przezwyciężyć zwrócił się, podał mi dłoń i podczas gdy tłum myśli zdał się cisnąć na usta, wyszeptał stłumionym głosem: — Bądź zdrów!

W godzinę, gdy po rannej przechadzce skończyłem skromny posiłek, Longlé oznajmił mi przybycie rządcy Kyoungu. Z myślą zajętą losem dwojga nieszczęśliwych kochanków, co tak mężnie znosili swoje przeznaczenie, zupełnie nieusposobiony do badań w dziedzinie zoologji i botaniki, udałem się mimowolnie za moim przewodnikiem, uniżenie grzecznym starcem, który mnogie lata spędził w klasztorze piastując godność zarządcy.

Birmanja ma klimat sprzyjający roślinom, i rozwojowi mnogich gatunków świata zwierzęcego; ztąd też ogród klasztorny odznaczał się niezrównanem bogactwem i od razu obudził moją uwagę, oderwaną chwilowo wskutek wrażeń doznanych w klasztorze zakonnic. W założeniu parku, podziale roślin i rozkładzie miejscowości stosownie do potrzeb, panowała harmonja pełna gustu i wielkich pomysłów. Olbrzymie drzewa niedostępnym wałem zieloności opasywały obręb ogrodu, kłąby pachnących krzewów umiejętnie zakreślone wśród kobierców z murawy, ubarwionych pysznemi kwiatami, coraz nowsze roztwierały perspektywy. W głębi baseny wód odzwierciadlały słońce, niebo i drżące powiewiem wiatru listki, to znów ukazywały się powabne altanki niby klatki opasane wiotkiemi powojami, dalej domki z trzciny indyjskiej, ogrodzenia z bambusów, za sztachetami budynek z prętów twardego drzewa, niby siatka nieprzedarta więził skrzydlate stworzenia, począwszy od rówieśników strzyżyka aż do współzawodników orła, i większą część czworonożnych zwierząt od szczura piżmowego, do gruboskórnych przedstawicieli. Gdzie niegdzie okratowane kioski przeznaczone na odpoczynek dla zwidzających gubiły się pod kapryśnemi splotami roślin wijących, kilka sadzawek przepełnionych rybami, mieściły niektóre wodne ptaki i okazy zwierząt wodnoziemnych jako też gadów jaszczurowych. Kwatery przeznaczone na uprawę jarzyn sąsiadowały z drzewami owocowemi i plantacjami krzewów handlowych i lekarskich, stanowiąc swoim symetrycznym porządkiem kontrast z kapryśnemi ustroniami parku.

Pomimo zupełnego braku roślin zagranicznych, należących do stref odmiennych, nigdy jeszcze natura nie przedstawiła mi się w takiej pełni bogactwa. W Europie zwidzałem wiele ogrodów botanicznych i zoologicznych, w Kalkucie byłem we spaniałym Garden-Rech, gdzie wielkim kosztem zebrano florę dwóch półkuli, ale nigdzie nie znalazłem tej harmonji i prostoty w ugrupowaniu, pełnej wdzięku, któraby tak umiejętnie łączyła często trudno z sobą godzące się przedmioty. Czy że klimat tu sprzyjał, czy bujny grunt był pomyślny, dość że wszystko zdawało się dochodzić do pełni rozwoju, zlewało się w gustowną całość bez najmniejszej sprzeczności lub rażącego kontrastu. I wyznam szczerze, przebiegając park w Theybo doznałem tak pełnego uczucia zachwytu nad pięknem natury, że wrażenie to nieprędko wyjdzie mi z pamięci.

Czas mijał szybko na rozpatrywaniu szczegółów, i już słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, gdy postrzegłem że wiele rzeczy pozostało mi jeszcze do oglądania. Chodziło mi najbardziej o zwidzenie sadzawek gdzie wiedziałem, że znajdują się krokodyle i to święte, prosiłem więc przewodnika by mię wprost zaprowadził do działu jaszczurów. Minąwszy stawy zapełnione rybami wód słodkich, doszliśmy do ogrodzenia zamieszkałego przez jedną parę monitorów.

Rozciągnięty na gazonie, grzejąc się do słońca spoczywał krokodyl wielkości dwóch metrów; ogon miał długi wklęsły, nogi palcowate opatrzone pazurami, język rozszczepiony, szczękę dość źle uzbrojoną, a spód ciała pokryty świecącą łuską. Dosłyszawszy szelestu kroków, podniósł głowę, wydał świst i gotował się rzucić w wodę; ujrzawszy nas upokoił się i dalej używał swojej siesty. Drugi egzemplarz mniej długi ale równej objętości miał boki pełniejsze, i za naszem przy-

łyciem dojrzałem, jak nogami i paszczą rozdrapywał brzeg stawu; była to widocznie samica. Zapytałem rządcę o niektóre szczegóły; odparł, że te dwa okazy, samiec i samica, dostały się do klasztoru przed dwudziestą miesięcami, że w tym czasie znacznie podrosły, ale nie wydały jeszcze potomstwa.

— No to starajcie się ich nie płoszyć a nie długo doczekacie się z nich pociechy. Trzeba tylko strzedz pilnie, by żadne małe drapieżniki, sępy, wysokonogie ptaki i żółwie, które na pobliskiej dostrzegłem murawie, nie zakradły się do tego zagrodzenia.

— Hamoneh! czy być może?

— Widzisz pan jak samica robi dziurę, raczej gniazdo, gdzie w krótce złoży jaja i przykryje mułem.

— W samej rzeczy Booghuy, masz pan słuszność.

Poszedłem dalej; nieopodal znajdował się inny dużych rozmiarów staw, wyłożony ciosowemi kamieniami. Zbliżywszy się dojrzałem ze dwanaście gariali rozciągniętych nad brzegiem z głową obróconą do wody, które ujrzawszy nas wszystkie zanurzyły się w sadzawce. Rządca wydobył świstawkę, zagwizdał silnie, i na ten głos wybiegł stróż z domku zasłoniętego całkowicie drzewami. Zamienili z sobą kilka słów, poczem stróż wrócił do siebie i za chwilę wyszedł niosąc cymbałki, długą żertkę okutą na końcu żelaznym szpicem, jakiś instrument zrobiony z kawałków trzciny, i kosz pełen małych ryb, jaszczurek, żab, z zapasem gałek wielkości pięści, urobionych z kukurydzianki zmięszanej z mączką ryżaną i to wszystko doprawione ziarnkami aromatycznemi, sprawiającemi natychmiastowe osłabienie.

Zaledwie stróż zagrał na swojej kozie, gariale jeden za drugim wynurzały się z wody, ustawiając się rzędem w około sadzawki, z paszczą roztwartą, oparte przedniemi łapami o krawędź kamienną i czekały na swój objad. Za każdą rybką, żabą lub rzuconą jaszczurką, chowały się w wodę i połknąwszy tamże swoją porcję znowu wypływały, a jeżeli dostały połowę gałki zanurzały się bezpowrotnie. Gdy już wszystkie przeszły kolej, stróż uderzył w cymbałki, plusk dał się słyszeć, woda zakołowała na powierzchni, i wystąpił wódz pokolenia. Potwór ten, wielkości blisko 10 metrów, pokryty był błyszczącą łuską, szczękę miał zwężoną i bardzo długą, kształtu cylindrowatego, uzbrojoną rzędem potężnych zębów. Pierwsze danie dostał na brzegu, za drugiem poszedł dalej, po trzeci kęs wychylił się do połowy, za czwartym już tylko koniec ogona był w wodzie. Stróż połechtał mu boki żerdką okutą, co go spowodowało do obrócenia się paszczą ku sadzawce i natenczas człowiek ten wsiadł mu na grzbiet i trzymając żerdź przed okiem krokodyla, drugą ręką podał mu połowę gałki. Garial połknął cudowną pigułkę, wszedł w wodę i kierowany łechtaniem trzciny, płynął po powierzchni okalając staw, poczem wyszedł na brzeg, dozwalając zsiąść wygodnie swemu jeźdźcowi. Gdy dostał resztę żywności rzucił się na dno wody.

Pod wpływem niewysłowionego wrażenia sięgnąłem do kieszeni, w zamiarze obdarzenia pogromcy garścią monety. Rządca wstrzymał mię, a zawoławszy stróża powiedział mu kim jestem i jak uzdrowiłem prowincjała. Poczciwy człowiek rozczulony, ukląkł przedemną, wziął za rękę ucałował i kładąc na swojej głowie zawołał:

— Dzięki ci, dzięki wodzu, opiekunie klasztoru

Słońce zaczęło zachodzić; prosiłem rządcę by mnie najbliższą drogą zaprowadził do Kyoungu. Idąc obok mego przewodnika nie mogłem się wstrzymać od wyrażenia podziwu, w jaki mię wprawił porządek i systematyczność panująca w całej administracji. Człowiek ten nie należał do zakonu, miał tylko naczelny zarząd folwarku i ze trzydziestu robotników, samych ludzi statecznych, ojców rodziny, którzy wypełniając sumiennie swoje obowiązki, zdobyli sobie prawo do łagodnego obchodzenia jakiego doznawali; od tyłu klasztoru były oficyny przeznaczone na ich pomieszczenie. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych

przez

DR. Z. ROŚCISZEWSKIEGO.

XIV.

POŁÓW PTAKÓW.

„In's Innere der Natur.
O Du Philister!
Dringt kein erschaffner Geist.
Mich und Geschwister
Mögt ihr an solches Wort
Nur nicht erinnern.“

Goethe.

Wszystkie te morskie ptaki, o których mówiliśmy, a oprócz nich i wiele innych jak *karbodziobe* (lamellirostres), do których przeróżne *kaczki* (anas), *gęsi* (anser), *tracze* (mergus), *flamingi* (phoenicopterus) i inne należą, wielkim są skarbem dla mieszkańców północnych krajów, gdzie roślinność skąpa nie daje im pożywienia. To też wdzięczni umieją pamiętać o swych chlebodawcach, znoszą dla nich na urwiste i strome skały, gdzie się te ptaki gnieżdżą, to wszystko, czem im mogą być pomocni w budowaniu gniazd i opatrzeniu legowiska. Największej pieczołowitości ze strony ludzi doznaje *kaczka erdredonka* (somaleria albo anas molissima.) Erdredonka zasługuje zaiste na tę pieczę i dozór, jakie północni mieszkańcy całej ziemi jej poświęcają, bo dostarczając cennego bardzo puchu i jaj, jest nieraz błogosławieństwem całej okolicy. Jej puch mięki i delikatny, lekki a ciepły toć przecie nieoceniony dla ludzi skarb wobec silnych mrozów w krajach, gdzie erdredonka przebywa. Puch ten w handlu erdredonem zwany, drogo się u nas płaci za lekkość i sprężystość swoją. Gdy samica ma usiąść na jajach, wyskubuje go sobie z pod brzucha i piersi i wyściela nim gniazdo, a mieszkańcy po wykłuciu się już piskląt zabierają go, co trzykroć do roku ma miejsce. Jaja, których za każdem niesieniem się składa po kilka, z wyjątkiem trzeciego, wybierają się dwa razy do roku i stanowią pożywną i smaczną potrawę dla ludzi. Drobny chrust, sucha trawa i porosty morskie zgromadzone przez przezornych mieszkańców na niedostępnych skałach, są dla niej materjałem, z którego swe gniazdo ściele, i z którego wzajemnością się odpłacając dla swych opiekunów, wcale przed nimi nie ucieka; często nawet oswaja się do tego stopnia, że w bliskości mieszkań ludzkich siedlisko swe zakłada, lecz pożywienia zawsze sama sobie szuka wśród ryb i innych drobnych ustrojów wód morskich.

W liczbie wielu użytków, jakie morskie ptaki dla żyjących wśród nich ludzi dostarczają, trzeba policzyć *guano*, znany powszechnie nawóz, który tyle dobrego dla rolnictwa w Europie uczynił. Zaledwie wyobrazić sobie można jakie olbrzymie obszary zajęte są przez ławice guana na wielu wyspach mórz australskich, na których grubość pokładów tego nawozu nie raz dziewięćdziesiąt metrów dosięga. I w istocie, wiele długich stuleci upłynąć musiało, zanim te cenne kopalnie w takich rozmiarach powstać mogły. Są to skarby, na które tysiące tysięcy jednostek północnych tych ptaków musiało pracować, a są badacze, którzy w przybliżeniu obliczyli potrzebny czas na utworzenie się takowych. My tu wspomniemy tylko nawiasem, iż są wyspy, na które co noc przeszło dwadzieścia pięć tysięcy ptaków nocować przylatuje, a każdy z nich składa podczas swojego noclegu około 25 gramów guana.

Słowem biedni mieszkańcy wysp, półdzicy i niecywilizowani, w ptakach tych tylko całe bogactwo, cały swój dobrobyt widzą. Pióra, tłuszcz, skóra i jaja, których pierzaste te zwierzęta dostarczają, są dla nich wszystkiem, wszystkie bowiem swe potrzeby umieją temi kilku produktami zaspokoić. Odziewają się, żywią niemi, a wśród długich i ciemnych dni zimowych, jakie w północnych krajach zwykle panują, tłuszczem z tych ptaków oświetlają swe chaty. Nie ma też trudu, nie ma znoju, nie ma niebezpieczeństwa, na któreby mieszkaniec tych wysp nie odważył się, byle dostać skarb swój nieoceniony, byle upolować nura lub pingwina, bezlotka lub innego jakiego morskiego ptaka. To też polowanie na te ptaki jest nieraz tak niebezpiecznem, tak zgrozy pełnem, a tak oryginalnem, że chyba tylko człowiek, którego życie od rezultatu jego zależy, może się na nie odważyć.

Ptaki te często gnieżdżą się li na wysepkach, które otoczone zewsząd stromemi i wysokiemi skałami, stanowią prawie niedostępną, niezdobytą fortecę. Z siatką w ręku, na długim kiju przymocowana, podobną do siatki jaką u nas dzieci do połowu motyli używają, suną się ci nieustraszeni myśliwi u stóp gładkich i śliskich ścian wysokich skał, a z kamienia na kamień zręcznie przechodząc, przeskakując nieraz przepaści, narażają się co chwila na upadek, który niechybną by śmierć sprowadził. A wszystko to dla chleba, dla pożywienia, które im upolowana zdobycz dostarcza!

Lecz te pełne gracji i zręczności łowy, te polowania u stóp przepaści dla zręcznych i od najmłodszych lat przyzwyczonych do nich mieszkańców skalistych wysep — to tylko prolog do nastąpić mającego dramatu, który na szczycie tych niebotycznych skał, nie raz pewno, zmusza do gwałtownej palpitacji serce nawet nieustraszonego tego myśliwca.

Odważni mieszkańcy wysp Foeroë, należących do Danji, leżących na północ Szkocji między Norwegją a Islandją na Atlantyckim oceanie, są bez zaprzeczenia najbieglejsi i prawdopodobnie najodważniejsi w wyprawach swoich po jaja i młode pisklęta morskich ptaków.

Najzręczniejszy a zarazem najsilniejszy z łowców rękami i nogami trzymając się gładkiej skały, wspina się i wdrapuje po prostopadłej jej ścianie jak kot lub wiewiórka, aż póki nie dojdzie do miejsca, które obszarem poziomej swej płaszczyzny pozwoli wygodnie mu stanąć. Z tego pierwszego piętra — pierwszej stacji niebezpiecznej swej podróży zrzuca na dół koniec w węzły powiązanej liny towarzyszom, których w dalszej wycieczce potrzebuje, sam silnie trzy-

mając drugi jej koniec, a tak po tych improwizowanych schodach pięciu jeszcze lub sześciu ludzi zaopatrzonych w potrzebne przyrządy doń się dostaje. I znów jeden z silniejszych wspina się na wyższe piętro i ciągle powtarzając swą czynność dostają się wreszcie wszyscy na szczyt skały, gdzie dopiero właściwa zaczyna się wyprawa.

Cała dotychczasowa ta napowietrzna podróż niczem nie jest jeszcze w porównaniu z tem, co teraz następować zwykło.

Na szczycie stromej skały, na jego brzegu poziomo układa się o ile możności długa belka. Do wystającego końca po nad urwisty brzeg skały przywiązuje się gruba na sześć centymetrów okrętowa lina, której długość najmniej trzysta metrów musi wynosić. Na końcu tej kolosalnej liny przymocowana jest deseczka, na którą siada odważny myśliwiec czyli *fuglemond*, jak go w tamecznem narzeczu nazywają. Człowiek ten trzyma w ręku cienką linkę, która idąc do góry uwięzuje się do ręki lub nogi jednego z będących na szczycie towarzyszów i służy do podawania znaków w razie jakiej potrzeby. Tak zawieszony nad urwistą przepaścią mieszkaniec wysp Foeroe dostaje się z rafy na rafę, ze skały na skałę, wszędzie zaglądając, gdzie może być gniazdo morskiego ptaka, gdzie może parę jaj znaleźć. Na wierzchołku skały pozostali towarzysze albo wszyscy stoją, by straszyć przylatujące tam ptaki, albo niektórzy pierwszego naśladując, spuszczają się na podobnych linach w bezdenną przepaść, z której ścian ciągle tysiące kamieni się sypie - odłamków od skały, u której stóp zaś morskie bałwany o jej posady biją. Myśliwiec siatką łapie wystraszone ptaki, ręką podbiera z gniazd w jaskiniach założonych jaja, a zdobycz z tej niebezpiecznej wyprawy chowa w torbę, którą u szyi ma zawieszoną. Najniebezpieczniejsza jednak dla zawieszonego tak fuglemonda jest zmiana miejsca. Tę uskutecznić tylko może za pomocą silnego rzutu swego ciała naprzód. Oparłszy się nogą o bok skały, podrzuca się całą siłą naprzód, a tak kołysząc się co raz z większym impetem, przelatuje wreszcie od jednej ściany do drugiej i wpada jak strzała w upatrzone miejsce. Gdy połów skończony, gdy torba pełna jest zdobyczy, pociągnięciem sznurka powiadomieni towarzysze windują do góry odważnego myśliwca.

Lecz ileż razy ta godna podziwu wyprawa skończy się śmiercią nieszczęśliwego fuglemonda, ile razy wyciągną towarzysze jego próżną deskę na końcu liny umieszczoną, nie wiedząc nawet co z nim się stało! Często, gdy zmienić chce miejsce i z wielkim impetem się kołysze, lina obrywa wiszące u ścian głazy, a jeden tylko uderzywszy go w głowę swoim ciężarem, zabić może i zrzucić w pieniące się bałwany, lub on sam straciwszy równowagę wpada w przepaść, w której śmierć okropna go czeka. Najczęściej jednak albo lina się urywa od ciągłego tarcia o ostre brzegi ścian skały, albo myśliwiec za silnie odbiwszy się od ściany, rozmiażdża głowę o przeciwległą. To znów pewny zdobyczy, wesoły i kontent z połowu, z pełną sakwą jaj i ptaków każe się ciągnąć do góry i już, już ma wylądować szczęśliwie, gdy uderzony o skałę przez windujących go ludzi, spada nieżywy na dół.

Jakiej więc odwagi, jakiego hartu ducha potrzeba do podobnej wyprawy, sam czytelnik zrozumie. Na pomoc liczyć nie można, bo nim krzyk dojdzie do uszu trzymających wartę na szczycie, nim szarpnięci postronkiem spojrzą, by się przekonać czego potrzeba, już nic nie ujrzą prócz spienionych bałwanów, nie usłyszą prócz ich huku i szelestu!

Jeżeli połów pereł niebezpiecznym jest dla nurka, wśród wód oceanu na dnie jego szukającego skarbów, któremi lubiące zbytek damy cywilizowanego świata wdzięki swe zdobią, o ileż niebezpieczniejszem i więcej na współczucie zasługującem jest polowanie na te wodne ptaki, z którego zdobycz konieczne tylko potrzeby nieszczęśliwych mieszkańców Północy zaspokaja. To też mieszkaniec wysp Foeroe przygotowując się na podobną wyprawę, żegna się z całą swoją familją, jak gdyby na pewną szedł śmierć, i idzie li na nią, gdy szlachetna pobudka dostarczenia żonie i dzieciom żywności, zmusza go do niej. Ta myśl przoduje mu w przedsięwzięciu, ta mu wśród niebezpieczeństw dodaje odwagi, ona też go najczęściej zdrowego i na długi czas już w potrzeby życiowe zaopatrzonego napowrót w dom sprowadza!

Łowieckie zajęcie niektórych dzikich narodów, passja ich w łowach na ptactwo, które dostarcza im potrzeb do utrzymania życia niezbędnych, lub niepohamowana ich żądza w tępieniu wszelkiego żyjącego stworzenia, bądź szkodliwego, bądź pożytecznego dla nich samych, jest przyczyną zaginięcia wielu gatunków skrzydlatych mieszkańców wysp Polinezji.

Apteryx albo *nielot kiwi* (apteryx australis) należy właśnie do tych nieszczęśliwych ptaków, których dni życia na ziemi policzone są już na pewne. Jest to ptak nie większy od kury, z długim dziobem podobnym do dzioba naszego *bekasa* (seolopax), lub *słomki* (s. rusticola), a łapy posiada takie jak wszystkie *kuraki* (gallinacei). Upierzenie jego do szerści zbliżone, jest brunatnego koloru, ogona nie posiada, a skrzydeł tylko szczątki zakończone zakrzywionym pazurem, którego w razie napadu do obrony używa wraz z łapami, które również ostremi i krzywemi uzbrojone są pazurami. Zamieszkuje on Nową Zelandję i żyje cały dzień wśród bagien, z których tylko wieczorem wychodzi. Napadnięty, broni się, lub ucieka bardzo szybko pomimo krótkich swych nóg. Gniazdo buduje z roślin i ich korzeni, które na błocie rosną i w nie składa jedno jajo wielkości kaczego. Mieszkańcy Nowej Zelandji polują na tego ptaka, którego „kiwi“ w swem narzeczu zowią, nadzwyczaj zapamiętale, a to z powodu smacznego jego mięsa, jak również dla piór, z których swe maty plotą. Dawniej bardzo liczny Nielot, dziś do bardzo rzadkich należy ptaków, tak że nieliczne jego okazy żywe znajdują się w ogrodach zoologicznych.

Drugim tamże ptakiem dawniej licznym, dziś zaledwie z kopalnych szczątek znanym był *dront dudu* (didus ineptus.) W 1497 r. *Vasco de Gama* wylądowawszy na wyspie Bourbon jeszcze w wielkiej liczbie spotykał te ptaki. Było to ogromne zwierzę przechodzące wagę 25 kilogramów, o krótkich nogach i skrzydłach, nie mogące ani biegać ani latać dobrze, wskutek czego wyginąć musiało. W tyle, w miejsce ogona, posiadał Dront kilka piór kręconych, jakby fryzowanych, a na łbie dziób kolosalnie wielki i gruby zakrzywiony na dół. Obecnie znajduje się tylko jeden okaz Dronta malowany w muzeum londyńskiem. Dront nie zasługuje na pośmiertne wspomnienie, ani bowiem mięso jego, ani pióra nie służyły ludziom do użytku.

W 1867 r. profesor uniwersytetu w Tuluzie ogłosił nader zajmujące badania nad kopalnym dziś ptakiem znanym pod nazwiskiem *epiornis*. Ptak ten zasługuje na wspomnienie z powodu znalezionych jaj jego, w których skorupie łatwo dziewięć litrów wody się mieści. Mieszkał on na Madagaskarze a Geoffroy Saint Hilaire pierwszy go badał i ze szczątek kopalnych pozostałych po nim na tej wyspie wnosi, iż obwód jego w pasie musiał do 4 metrów dochodzić.

ŻYCZENIE.

Podaj mi rękę bracie — i nad otchłanie czarne,
W świat znany nam oddawna skalistą wiedź mnie drogą;
Gdzie na przeczystych skrzydłach gołębie mkną ofiarne,
Gdzie utrudzonych życiem spoczynek tuli błogo;
Gdzie niezrównanym blaskiem słońce prawdy się pali,
Gdzie drżą anielskie harfy melodją ciszy spiewną,
I tłumy białych duchów z błękitnej płyną dali
W męczeńskie strojne wieńce, owite w mgłę powiewną.

Tu mroki do okoła i chaos dzikiej wrzawy.
Połyski blichtrów marnych i wabne zdrad uśmiechy;
Tu życie wre i walczy o kęs zwierzęcej strawy,
Jaskrawą szału chwilę, lub lśniący djadem pychy.
W bijącem sercu świata gorączki czuję tętna,
I struny lutni cichej bezwiednie z wichrem stroję...
O podaj rękę bracie! bo drżę strwożona, smętna,
Słabnące wesprzyj kroki i osłoń — bo się boję!

W świat z pod ojczystej strzechy sierocych dwoje dzieci
Wygnała w pośród burzy — och! dola zła — macocha...
Więc idźmy ręka w rękę wśród losów tej zamieci,
Wśród wrących ludu tłumów, gdzie nikt nas, nikt nie kocha!
Płyńmy bliźnięce duchy, ponad te życia męty,
Jak żeglarz co relikwję zawiesił na swem łonie —
Jak mężny wiary mocą, od morskich burz nietknięty
Z jasnem przebywa czołem kipiące śmiercią tonie!

W pielgrzymów kornej szacie, bliźnięce idźmy duchy,
Miłością cichą zbrojne, w wędrówkę tę pokutną —
Słuchając dnia rozgwaru i dźwięków nocy głuchej —
Patrząc pod larwę świata co kryje twarz tak smutną!
Gdzie niema rozpacz gości pod zdartą nędzy strzechą,
I w złotych komnat blasku gdzie ciężą czoła zbladłe...
Bądźmy, ach! bądźmy wszędzie pomocą i pociechą
Na srebrną nić litości zbierając łzy opadłe!

Skra w duszy nam tlejąca niech stanie się ogniskiem
Przy którem świat ogrzeje swe łono zimne, skrzepłe —
Otulmy ludzkość całą gorącym swym uściskiem,
Promieniem prawdy budząc źrenice jej oślepłe!
Niech oklask nas nie zbłąka, szyderstwo niech nie zziębi,
Pychę odtrąćmy wzgardą! by nie paść bez sił w progu,
Lecz wyżej, coraz wyżej od mętnych ciemnych głębi
Wznośmy się czynem, życiem, ku światłu, tam ku Bogu!

O daj mi rękę bracie! i razem idźmy, razem!
Wśród chorych i szalonych co śmieją się lub jęczą,
Krzep duszę mą strwożoną straszliwym tym obrazem
Mówiąc, że chmur tych całun zabłyśnie kiedyś tęczą
Przymierza ziemi z niebem!
...Niech myśl ta, myśl słoneczna
Na smutną drogę moją promienie rzuca jasne,
Nim w oku mem zabłyśnie wdzięczności łza serdeczna
Ostatni raz dla ciebie!
...Nim strudzę się i zasnę!

Marja B.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał
Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

III.

Dzień był lipcowy — prześliczny; niebo chciało także uczcić urodziny Toni.

We dworze ruch co raz się zmniejszał, bo na przyjęcie gości wszystko już było przygotowane. Służba w strojach świątecznych stała na wschodach i w przedpokoju, a Grześ, który pani majorowej bał się jak ognia, modlił się w duszy do wszystkich świętych by go wsparli, niedopuszczając żadnego wypadku przy herbacie.

Pani majorowa wyświeżona i wystrojona, chodziła po salonach ostatnie wydając dyspozycje, a Tonia w ciężkiej sukni materjalnej, która widocznie nie sprawiała jej przyjemności, to stawała przy oknie, to wychodziła na ganek, patrząc mimowoli na drogę wiodącą do stacji kolei żelaznej.

Grześ mimo całej swojej niezgrabności musiał być dobrym chłopcem, bo gdy uwielbiana przezeń panienka oddalała się z ganku, on zapatrzony w jakiś punkt na drodze, oderwał się nagle, a pobiegłszy za Tonią, szepnął jej do ucha głosem urywanym a radosnym:

— Panicz jedzie!

— Jedzie? — powtórzyła Tonia przy drzwiach się zatrzymując.

— A jedzie!... Poznałem nasze szpaczki pannunciu... To pan major posłał na kolej Walentego.

Tonia zakłopotana nie wiedziała, czy odejść czy zostać. Twarz jej najpierw spłonęła, potem pobladła i oczy w dół opadły, jakby lękała się spojrzeć na drogę. Szczęście że prócz Grzesia na ganku nikogo nie było.

Została.

Niedługo trwało i przed ganek zajechał wózek węgierski.

Po drobnym piasku koła cicho się zatoczyły; Walenty wbrew zwyczajowi nie trzaskał z batoga.

Na wózku siedzący młodzieniec spojrzał na ganek, a ujrzawszy towarzyszkę pierwszej swojej młodości, uśmiechnął się już z daleka i po kilkakroć skłonił się kapeluszem. Gdy konie stanęły, jednym skokiem był na ganku przed Tonią.

— Witajcie mi, witajcie! Jak się masz droga Toniu! — zawołał radośnie z okiem roziskrzonem, wyciągając do dziewczęcia obie ręce.

Ona podała swoją rękę, a rzuciwszy po za siebie bojaźliwe spojrzenie, przysunęła się doń szepcąc:

— Jak się masz... Edmundzie.

Całe jej zachowanie zdradzające niepokój i ton z jakim te słowa wymówiła, zadziwiły młodzieńca. Nachyliwszy głowę i patrząc w jej oczy, zapytał poważnie:

— Co to znaczy Toniu? Czyście się dla mnie zmienili? A może ten strój poważny robi cię tak poważną?

Tonia nie wiedziała co odpowiedzieć. Na jej szczęście dał się słyszeć głos ojca, który w tej chwili wyszedł na ganek.

— A to co? — przemówił z łagodnym wyrzutem. — Dzieci, co to znaczy? Stoicie jakbyście razem trzech zliczyć nie umieli. Edmundzie! Toniu! zaraz mi się uściśnijcie jak Bóg przykazał. Wiecie, że nie lubię ceremonji.

Ona przycisnęła się do jego piersi — on pocałował ją szczerze jak siostrę.

— Tak mi się podoba! zawołał major. — Jak się masz Edmundzie!

I młodzieniec rzucił się w objęcia starca.

A piękny to był chłopiec. Smukły, śniady, o oku ognistem, czole szerokiem i ustach energicznych, prawdziwy typ męskiej siły i męskiej piękności.

— Chodźmy teraz do matki — rzekł major po pierwszych słowach powitania.

Pani Katarzyna zajęta ciągle służbą, ani się domyślała, jaka scena odbyła się na ganku. Gdy wszedł Edmund, przywitała go bardzo zimno, chociaż przez wzgląd na obecnego majora chciała udać czułą, i okiem przenikliwem zaraz Tonię zmierzyła. A musiała coś odkryć w jej twarzy, bo tłumiąc wewnętrzne niezadowolenie, usta przygryzła.

O szóstej z południa zaczęli się zjeżdżać goście. Wkrótce cały dziedziniec był zatłoczony powozami, faetonami, i wózkami; w salonach majorostwa zrobiło się gwarno i wesoło. Panowie, poważne matrony, akademicy którzy do rodziców przyjechali na wakacje, młode panienki, słowem wszyscy cisnęli się do solenizantki aby jej złożyć swoje życzenia. Już od lat kilku dzień ten był we Wolicy uroczyście obchodzony, więc dla tego taki zjazd i gwar taki.

Podczas gdy młodzi bawili się w salonie, kilku panów starszych przechadzało się po terasie, paląc cygara.

— Co słychać u ciebie, kochany sąsiedzie? zapytał pan Damazy, zwracając się do mężczyzny średniego wzrostu, z brzuszkiem wcale pokaźnym i twarzą okrągłą a rumianą.

— Bieda i bieda — odpowiedział pan Krzysztof. — Jak tak dalej potrwa, słowo honoru wszyscy pójdziemy z torbami. Chłop nic nie robi tylko pije, siana mało będzie bo słońce wypaliło, a wódka wciąż spada.

— Co do wódki, toś źle zrobił, żeś jej na wiosnę nie sprzedał, ja mojej wyzbyłem się jeszcze w zimie.

— E! ty i bez tego mogłeś się obejść i nie byłbyś nic stracił, — zauważał pan Jakób przechadzający się po prawej stronie pana Damazego.

— Jak to rozumiesz sąsiedzie? — zapytało na raz kilka głosów.

— Bo to widzicie, nasz Damazio opowiada o swojej wódce, a wy byście ani przypuścili z czego on zacier robił i jak łatwo ją sprzedał.

— No powiedz.

— Zeszłej zimy przyjeżdżam raz do Damazia późnym wieczorem. Gospodarza nie zastaję w domu, tylko jego panią i rządcę, który zaraz na wstępie zaczął skarżyć się przedemną, że nie ma z czego zrobić zacieru, bo Damazio wyjeżdżając ani grosza nie zostawił, a produktu w domu nie było. Woły tymczasem ryczały w stajni aż się serce krajało. Domyślając się gdzie Damazio wyjechał, kazałem zaraz zaprządz i pędzę. Przeczucie nie omyliło mię... u jednego z naszych sąsiadów zastaję kochanego Damazia przy zielonym stoliku, a przy nim nie mniej nie więcej tylko ośmiu czarnych Mołdawianów. Przybliżam się i szepcę mu do ucha, że w domu wyglądają go z niecierpliwością, na co ofuknął mnie mówiąc: — Ależ daj mi święty pokój, ja tu z tych czarnych djabłów robię zacier!

— I zrobił? — zapytał pan Krzysztof, któremu bieda tak dokuczała.

— Zrobił! Do rana wygrał trzydzieści tysięcy guldenów.

— A to zuch z Damazia! Słowo honoru dobry zacier, dałbym pięć reńskich żeby mi się taki udał! — zaśmiał się pan Krzysztof.

— Brawo Damaziu, brawo! powtórzyli inni śmiejąc się na różne tony.

Pan Damazy przyjął ten okrzyk za hołd przynależny jego zasłudze; był on zdania, że kto ogrywa Mołdawianów, ten spełnia czyn prawdziwie patrjotyczny.

— Nie wiesz kochany sąsiedzie czy hrabia Olpiński przyjedzie tu dziś ze swoją piękną siostrzenicą?

— W południe, — odparł zapytany — wstąpiłem do nich, ale widziałem się tylko z panią Herminą.

— O patrzcie jaki z niego filut! Odwidza piękne kobietki.

Pan Jakób uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Hrabia, mówił dalej, siedział w swoim gabinecie i o ile mi się zdaje leczył się z łaźni, którą odbył przed trzema dniami...

— Łaźni... A to co za łaźnia?

— Jak widzę, nie macie nawet wyobrażenia o tem co się w sąsiedztwie dzieje... Hrabia tak się zapracował pisząc jakąś tam kronikę, i wertując... ten... tego... jak to on się nazywa Damaziu?

— Montesquieu.

— Aha, tego Monteskiego, iż przed dwoma tygodniami dostał tak silnego uderzenia krwi do głowy, że z pewnością byłby do reszty zbzikował. Pani Hermina wysłała go do miasta.. Tam ktoś mu poradził, by poszedł do łaźni parowej. Łaźnia bardzo mu dobrze zrobiła, bo wróciwszy do domu, był weselszy i jakiś czas mówił do rzeczy. Po kilku atoli dniach ataki znowu się powtórzyły. Hrabia chodził godzinę po ogrodzie, dumał, potem zawołał swego Michałka, kazał mu wyciąć kilka prętów łoziny, zamknął się z nim w swoim gabinecie a przytoczywszy mu najpierw, jak według zwyczaju, kilka ustępów z tego Monteskiego, potem tak do niego przemówił: Widzisz mój Michałku, ja z nauki dostaję zawrotu głowy, co w moim wieku może być bardzo niebezpiecznem. Otóż w mieście poradzono mi, bym poszedł do łaźni... tam bili mię po ciele małemi trzepaczkami i to mi dobrze zrobiło, ale nie na długo, zaledwie na kilka dni. Otóż jeżeli teraz każę się lepiej przetrzepać, pewnie całkiem wyzdrowieję. Słuchaj Michałku. Ja zrzucę surdut, a ty będziesz mię bił temi oto prętami, które ci kazałem przynieść. Tylko nie żałuj, choćbym krzyczał, nie żałuj, bo to mi wyjdzie na zdrowie. — Ale proszę jaśnie pana hrabiego ja nie śmiem! — odpowiedział pokornie Michałek skrobiąc się w głowę. — Co to nie śmiesz, kiedy ja każę to słuchaj, bo inaczej zaraz cię wypędzę! — Michałek ze strachem wziął pręt do ręki, hrabia zrzucił tymczasem surdut i kamizelkę. — Zaczynaj! — zawołał. Michałek dotknął się go prętem ledziutko. — Lepiej! — Michałek pociągnął lepiej. — Oj! jeszcze lepiej! — Michałek usłuchał rozkazu. — Oj! Oj! Oj! — mocniej! — Michałek stopniując dawkę uderzył tym razem z całej siły, i nie czekając co dalej będzie, skoczył przez okno do ogrodu. Chłopczysko tak się przestraszył, że bez tchu biegł pół mili i aż u mnie się zatrzymał.

— Cha! cha! cha! — zawołali słuchacze — a to pyszna historja! Więc Michałek sam ci to opowiadał?

— Sam. Dwa dni trzymałem chłopca u siebie, dopiero przedwczoraj odesłałem go hrabiemu. Jestem pewny że ta łaźnia nie pozwoliła mu dziś wyjść do mnie.

— Ależ to oryginał! — zauważył pan Damazy — Szkoda że hrabia.

— Niesłychany! — potwierdził drugi z obecnych.

— O wilku mowa, a wilk tu! — zawołał pan Krzysztof, który obrócony w tej chwili plecyma do mówiących, patrzył na drogę wiodącą z Wolicy do Warnowiec.

I rzeczywiście drogą topolową toczył się elegancki faetonik parą dzielnych gniadoszów zaprzężony. Na koźle siedziała powożąc młoda i piękna kobieta; obok niej widać było pod olbrzymim parasolem, który miał chronić od kurzu niemłodego i zgarbionego mężczyznę.

Rozmawiający na terasie podzielili się na dwie części. Jedni zbliżyli się do balustrady, drudzy pospieszyli na ganek. Do pierwszych należeli pan Krzysztof i pan Damazy.

— Zagadkowa kobieta — rzekł cicho p. Damazy. — Ciekawym po co ona przyjechała do wujaszka i dla czego tak długo przy nim siedzi.

— Hm! — mruknął pan Krzysztof, — pewnie czeka na sukcesję.

— Piękne widoki! A jeżeli wujaszek jeszcze trzydzieści lat pożyje?

— Już tam ona musi mieć swój rachunek. Kobiety nikt nie odgadnie, słowo honoru panie dobrodzieju... Nikt nawet nie wie, czy ona wdowa czy rozwódka. Ciekawa kobieta!...

Pan Krzysztof nie mógł już robić dalszych obserwacyj, bo faetonik minął właśnie bramę i zajechał przed ganek. Na ganku stało kilku młodych ludzi i dwie matrony, które wyszły ochłodzić się na świeżem powietrzu. Młodzież poskoczyła do faetonu. Między nimi był Edmund. Hermina rzuciwszy lejce siedzącemu w głębi stangretowi, podała rękę Edmundowi. W chwili gdy stanąwszy na stopniu, chciała skoczyć na ziemię, suknia zaczepiła się o latarnię przy koźle, skutkiem czego ukazała się nóżka jak dziecka trzynastoletniego, w płytkim trzewiczku atłasowym i w białej jak śnieg pończoszcze. Panie na ganku odwróciły oczy z niezadowoleniem, pan Jakób uśmiechnął się i wąsa podkręcił, a Edmund uwolniwszy suknię od przeszkody, pomógł wysiąść hrabinie, która z uśmiechem rzekła:

— Przepraszam cię panie Edmundzie... Dawno jak przyjechałeś?

— Właśnie dziś.

— To pięknie!

Z temi słowy wbiegła po schodach na ganek; za nią krokiem poważnym, we fraku granatowym ze złotemi guzikami, z białą chustką na szyi i z głową źle uczesaną, udał się do salonu hrabia Olpiński.

IV.

Na terasie utworzyło się wkrótce grono jeszcze liczniejsze jak przedtem. Między rozmawiającymi znajdował się już i hrabia, którego sąsiedzi w koło otoczyli. Ponieważ wujaszek hrabiny źle słyszał na lewe ucho, przeto do mówiących obracał się zwykle uchem prawem.

— I cóż tam słychać nowego sąsiedzie dobrodzieju? — zapytał znanego już nam pana Krzysztofa.

— Bieda panie hrabio, wielka bieda! Jak tak dalej potrwa, słowo honoru panie dobrodzieju wszyscy zostaniemy żebrakami..

— Sąsiad dobrodziej żartuje, żartuje! Nie jest jeszcze tak źle jakby być mogło, a chociaż kraj cały biedny, to pamiętajmy zbawienne słowa Monteskjusza, który powiedział w księdze XX, rozdział III: „Są ludy dla tego biedne, że nie poznały wygód życia, ale takie ludy mogą jeszcze wielkich rzeczy dokazać, ponieważ ich ubóstwo jest zarazem częścią ich wolności.“

Hrabia umilkł, a pan Jakób szepnął do pana Krzysztofa:

— Zrozumiałeś kochany sąsiedzie?

— Ot plecie od rzeczy! Dałbym pięć reńskich żeby raz co rozumnego powiedział, słowo honoru panie dobrodzieju!

— Śliczna sentencja! — zawołał pan Damazy, który hrabiego zawsze chwalił w oczy.

— Dziś w południe miałem zaszczyt wstąpić do Warnowiec, ale nie miałem przyjemności widzieć pana hrabiego — przemówił pan Jakób.

— Byłem zajęty, bardzo zajęty... pisałem właśnie ośmdziesiąty rozdział mojej kroniki... doszedłem już do Platona. Sąsiad dobrodziej zapewne zna Platona? — dodał zwracając się do pana Krzysztofa.

— Tak... tego... osobiście nie mam przyjemności, panie hrabio, ale słyszałem że to człowiek bardzo porządny... Słowo honoru panie dobrodzieju, bardzo porządny.

Za plecyma rozmawiających dał się słyszeć śmiech jakiegoś młodzika, pewnie studenta, który wybiegłszy z salonu zbliżył się do poważnych obywateli. Panowie Krzysztof i Jakób spojrzeli na intruza z niemałem zdziwieniem. Hrabia milczał, tylko powieka nad lewem okiem drgała mu nerwowo, co było u niego znakiem że śmiech w sobie tłumił.

— Kochani sąsiedzi nie łaskawi na damy — przemówił gospodarz wchodząc na terasę.

— Idziemy, idziemy!

Rzucili cygara i poważnie weszli do salonu.

Towarzystwo było rozproszone. Poważne matrony zająwszy miejsca honorowe rozmawiały o gospodarstwie domowem; panienki bądź przeglądały albumy w czem im Tonia dopomagała, wytłumaczając znacznie rycin, bądź przechadzały się z młodzikami, a starsi panowie, prócz gospodarza, który mimo wieku podeszłego do każdego przystępował i każdego chciał zabawić, utworzyli przy drzwiach prowadzących do drugiego solonu poważne kółko.

Przy jednem oknie stała gospodyni domu z lepszemi znajomemi, przy drugiem pani Hermina z Edmundem.

Hrabina miała na sobie czarną suknię pod szyję zapiętą, bardzo wytwornie skrojoną, a we włosach pąsową aksamitkę. Rys jej twarzy był regularny, prawie klasyczny, — duże czarne oko spoglądało poważnie i spokojnie, a hebanowe włosy silnie odbijały od bladej cery. Wzrost jej był smukły. Niejeden stanąwszy przed nią i Edmundem mógł był sądzić po pierwszem wejrzeniu, że są rodzeństwem lub bliskiemi krewnemi — tak w nich uderzało wielkie rysów podobieństwo. Po bliższem atoli rozpatrzeniu złuda znikała, zwłaszcza że wyraz twarzy Edmunda był swobodny, wesoły, jak młodzieńca, który rwie się do życia, ale go jeszcze nie poznał, gdy natomiast twarzyczka hrabiny zdradzała pewne znużenie, powiedzielibyśmy nawet ból ukryty.

Chociaż bardzo ożywioną wiedli rozmowę, pani Hermina nieraz ucinała i bezmyślnie wpatrywała się w próżnię. Wtedy jedwabne rzęsy zbiegały się nad oczyma, wąskie usta zacinały się kurczowo, a oko błyski rzucało ponure. Jednak przerwy takie nie trwały długo. Jakby ze snu zbudzona wstrząsała piękną główką, a odzyskując dawną wesołość nawiązywała wątek przerwanej rozmowy.

— Więc pan sądzisz, że teraźniejszy kierunek nie jest zabójczym dla ducha ludzkiego? — mówiła, ruszając niespokojnie, zamkniętym wachlarzem. — Mój panie Edmundzie, gdybym cię nie znała i nie wiedziała w jakich zasadach zostałeś wychowany, mogłabym przypuścić, że ten uniwersytet lipski i ciebie zmaterjalizował.

— Ależ hrabino, wiara w to, co widzimy, a powątpiewanie o tem, czego żywem okiem nie możemy dojrzeć, nie jest jeszcze materjalizmem. Kierunek dzisiejszy właśnie na tem polega, że spokojnie to tylko bada, co za pomocą doświadczenia zbadać może, a o resztę wcale się nie troszczy.

— To źle, bardzo źle! Postaw pan to jako zasadę, a jutro zginie wiara, bez której świat istnieć nie może. Cokolwiek przeciwstawiłbyś pan memu twierdzeniu, nie przestanie być prawdą niezbitą, że bez ślepej wiary w siły niewidzialne żadne społeczeństwo nie mogłoby się ostać.

— Jak widzę hrabino, przeszliśmy na pole utylitaryzmu, którego nauka nie zna.

— A ja dziękuję panu za taką naukę, która samolubnie istnieje dla siebie nie troszcząc się o człowieka, który ją stworzył. Jeżeli nauka jest objawem żywotności ducha ludzkiego, to niech doń wróci wszystkiemi promieniami, wzmocni go i uszlachetni.

— Nauka hrabino jest kwiatem, który tem spełnia swoje zadanie, że woń rozlewa i oko bawi.

— Mylisz się pan. Tylko taki kwiat ma wartość, który przyczynia się do stworzenia owocu. Inne samabym wytępiła.

— A jeśli owoc szkodliwy?

— Co dla jednych szkodliwe, dla drugich pożyteczne. Przedewszystkiem panie Edmundzie nie bądźmy egoistami.

— Składam broń hrabino.

— Rozumiem pana... nie chcesz ze mną dłużej dysputować... dobrze, ale kiedyś wrócimy do tej kwestji, która mię tak interesuje. Mówmy teraz o czem innem, choćby nawet o psach i koniach jak hrabia Dziunio, bo i tak dziwią się nam obecni że zbyt długo filozofowujemy. Jak długo zabawisz pan we Wolicy?

— Nie wiem jeszcze. Niedawno zostałem pełnoletnim, więc prawdopodobnie opiekun każe mi objąć majątek, który został po moich rodzicach.

— Przeniesiesz się pan na Mazury?

— Tak sądzę.

— Sam?

— Nie rozumiem... Coś pani przez to chciała powiedzieć? — zapytał Edmund patrząc ze zdziwieniem na Herminę.

— Nic... doprawdy, myślałam o czem innem... Toniu! — zawołała głośniej — czy bez tańców dziś się nie obejdzie?

— A tobie by to przykrość sprawiło?

— Bo widzisz moja duszko, w takim razie musiałabym cię wcześnie pożegnać. Dziś do południa miałam nieznośną migrenę, nie wiedziałam nawet czy będę cię mogła odwidzić a i wujaszek coś także nie zdrów.

— Hrabia Dziunio jedzie szydłem na dziku! — dał się słyszeć głos pani majorowej, która stojąc przed oknem, ciągle na drogę patrzyła.

Kilka osób zaśmiało się śmiechem stłumionym, czego jednak gospodyni z powodu gwaru w salonie zauważyć nie mogła.

— Słyszała że dzwonią ale nie wie w którym kościele — szepnął pan Damazy w ucho panu Jakóbowi. — Gdyby hrabia Dziunio to usłyszał, uczuł by się śmiertelnie obrażonym.

— Czemu?

— Bo wziął by to za aluzję do jednego ze swoich antenatów...

Pan Jakób uznał za stosowne uśmiechnąć się na znak że zrozumiał.

Major wyszedł na ganek; kilka osób zbliżyło się do okna. Hrabia jechał rzeczywiście na dźigu angielskim, ciągnionym przez dwa konie, zaprzężone jeden za drugim. Zdaleka trudno było rozpoznać, czy hrabia był młodym czy starym, przystojnym lub brzydkim, gdyż zamiast twarzy było widać kapelusz głęboko na oczy zaciśnięty i rzadkich rozmiarów białe kołnierzyki, a na przodzie batóg tkwiący w manszetach równie nieproporcjonalnych.

Pani majorowa wahała się chwilę, czy wyjść na ganek czy zostać w salonie. Została jednak, a nawet... nawet odstąpiła od okna. Dobry ton zwyciężył.

Wszedł hrabia Dziunio nie mogący mieć więcej jak dwadzieścia kilka lat, choć znacznie starzej wyglądał — krokiem posuwistym zbliżył się do pani majorowej, a pocałowawszy wbrew etykiecie obie jej pulchne rączki, na co ona odpowiedziała najpiękniejszym swoim uśmiechem, skłonił się zdaleka i protekcjonalnie wszystkim obecnym, a wrzuciwszy zręcznie monokl w prawe oko, z bardzo słodką miną zbliżył się do Toni, która odszedłszy od Herminy stała właśnie pod zwierciadłem, przeglądając z dwiema panienkami album myśliwskie.

Hrabia był uszczęśliwionym ilekroć nadarzyła mu się sposobność rozmawiać z kim w pobliżu zwierciadła. Jakkolwiek usta jego szybko się wtedy poruszały, oczy jednak spoczywały najczęściej na własnej fizjognomji, a ręce to kołnierzyki poprawiały, to gładziły włosy, które zręcznie skroń mu zasłaniały, to uważnie układały monokl lub węzeł czarnego krawata.

— Jak mię to cieszy że panie przeglądacie takie piękne sztychy — rzekł patrząc wyjątkowo nie w zwierciadło, lecz na album. — Ten pies wyśmienicie wyrysowany... ale ten koń... ohydny! Głowa duża, szyja krótka... Takiego samego charta dostałem zeszłej jesieni od księcia Jerzego... nie wierzyłybyście panie jak mnie wczoraj ubawił. Znudzony i zmęczony raportami moich oficjalistów, siadłem wczoraj nad wieczorem na moją *Lady* i wyjechałem w pole. Anim postrzegł że mój *Speedy* wybiegł za mną. Gdym przejeżdżał koło łanu chreczki, widzę w bruździe coś na kształt lisa czy zająca. Bez szkieł nie mogłem zdaleka rozróżnić zwierzyny. Chociaż to nie pora do polowania, poszczułem jednak *Speedy'ego*, aby się przekonać czy biegać nie zapomniał. *Speedy* biegnie, dopada i w tej samej chwili, słyszę krzyk.

— Boże! — zawołała Tonia przestraszona.

— Niech się pani nie lęka — odparł Dziunio — to był najprostszy wiejski dzieciak, którego matka pasła krowę po drugiej stronie pagórka.

— I pies dziecko pokąsał? — zapytało razem kilka głosów.

— Nie, nie!... Przewrócił je tylko i na tem koniec. Ale nie uwierzyłybyście panie, jak mnie ten wypadek ubawił.

— Monstesquieu powiedział — dał się słyszeć niespodziewanie głos hrabiego Olpińskiego za plecyma rozmawiających — że arystokracja była zawsze sroga, tyrańska a równocześnie tchórzliwa...

— Nie rozumiem kochany sąsiedzie znaczenia tych słów powiedzianych w tej chwili — odparł Dziunio.

— Montesquieu — ciągnął oryginał — powiedział także w innem miejscu, mianowicie w księdze VIII, rozdział V, „że największe zepsucie panuje tam, gdzie arystokracja jest dziedziczną.“ Dla tego to mój luby Dziuniu nie ożeniłem się i nigdy się nie ożenię.

Właściciel *Lady i Speedy'ego* stał nie wiedząc co odpowiedzić; szczęście że z kłopotu wybawił go głos majorowej, która wystąpiwszy na środek salonu, rzekła uroczyście:

— Proszę na herbatę.

Ruszyli parami: Dziunio z Tonią — Edmund z Herminą. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Nieśmiertelne dusze. I. Ojciec Makary, dramat w 3 aktach Władysława Okońskiego. Kraków — nakładem księgarni Adolfa Dygasińskiego i Sp. 1876.

(Dokończenie).

Nie dość tego. Syn jego Aureli przyjechał z Francji i znajduje się także w domu Reginy. Może ona zastawia na niego sidła? On go zna, jest jego przyjacielem, ale czyż ma jakie inne prawo oprócz dawania oględnych rad młodemu człowiekowi? Ekscentryczna Regina, której serce dotychczas nie było przystępne uczuciu miłości, zapłonęła na widok Aurelego nieznanym dotychczas ogniem tkliwego uczucia, pierwiastek kobiecy zwyciężył nad filozofją — Regina kocha Aurelego i jest w zamian przez niego. Silna jej natura ugięła się przed silniejszą. Tymczasem następuje katastrofa — Melanja zabiera ze sobą podstępnie Cecylję. Makary widział jak ją w powozie uwoził Jastrzębiec, a nie miał prawa zatrzymać pojazdu. W chwili gdy właśnie Aureli wyjawił swoją miłość Reginie, wpada pomiędzy nich zrozpaczony ojciec z okropną wieścią i w namiętnej rozpaczy piętnuje Reginę jako właściwą uwodzicielkę. Zchwyciwszy syna za rękę wybiega z rzekomej Sodomy. Wszyscy są przekonani, że Cecylja została uwiedzioną, a obelga wyrządzona jej — to obelga wyrządzona Reginie. Kto ją pomści? — Jej drugi ojciec — Antoni, lokaj. Jastrzębiec po dokonaniu zbrodniczego czynu, ma czoło przyjść do Reginy i obrzucić ją obelgą i szyderstwy. Ale natrafia na Antoniego — stary sługa mści się nad łotrem w sposób niezwykły. Zabić go było by za mało. Zwołuje służbę i rozkazuje, ażeby go który znieważył. Żaden nie chce. „Idź wolny,“ mówi do niego, „a ja jutro szczęśliwy opowiadać będę, że w służbie mojej pani, nie znalazła się ani jedna ręka, którąby zechciała dotknięciem zaszczycić twoją twarz honorową.... Czołem łotrze przed uczciwością lokajów i za drzwi z ich wzgardą!“ Cała katastrofa głębokie wywarła wrażenie na Reginie. Ona, która dotychczas nie zważała na opinję świata, chce się oczyścić z zarzutów przynajmniej przed jednym człowiekiem, który jej imponuje — idzie się spowiadać ojcu Makaremu. Akt trzeci rozgrywa się w celi klasztornej. Tu widzimy dopiero Makarego w całej pełni charakteru. Jest to lew rzucający się w ciasnej klatce, olbrzym duchowy w szacie mniszej, nieśmiertelna dusza w szorstkiej powłoce. W rozmowie, którą prowadzi po bezsennie spędzonej nocy z braciszkiem zakonnym, wyrzuca z swojej piersi błyskawice świetnych myśli i gromy uczucia. Człowiek to niezwykły, którego los gwałtem chce zrobić podobnym do innych. Aureli po katastrofie z Reginą przychodzi do niego jako swego opiekuna i oświadcza, że zawód, którego doznał nie dozwala mu dłużej pozostać w ojczyźnie—pisał do swych przyjaciół we Francji i jedzie znowu do Afryki walczyć z przyrodą i dzikimi. W tem wchodzi Regina, a Aureli idzie do pobocznego pokoju, aby się z nią nie spotkać. Wobec Makarego i ukrytego Aurelego następuje głośna spowiedź tej dziwacznej, ale szlachetnej kobiety. Z niej dowiaduje się Makary i Aureli jak niesłuszne mieli o niej wyobrażenie. W tej chwili Melanja wprowadza uwolnioną Cecylję, która wyszła z zastawionej na nią zasadzki niepokalaną. Bezgraniczna radość ogarnia serce Makarego — przyznaje się otwarcie, że jest ich ojcem. Pierwszy raz w życiu jest szczęśliwym. Ale nie długo nim będzie: szczęście dzieci wymaga, aby ich opuścił. Porzuca celę klasztorną, gdzie nie wiele może działać dla ludzkości, i udaje się w zastępstwie syna do Afryki nauczać dzikich i pocieszać strapionych. Biorąc bilet do jazdy mówi do syna: „Okrętowi wszystko jedno, którego z nas powiezie, jego załodze ojciec syna zastąpi, *świat cywilizowany pozbędzie się we mnie wyrzutka, a dziki zyska pocieszyciela!*“

W treści dramatu, którą przytoczyliśmy, podaliśmy zarazem charakterystykę osób działających. Charaktery te przeważnie są nowe, konsekwentnie i umiejętnie przeprowadzone, z wyjątkiem tylko jednego, a mianowicie Ksawerego. Postać ta z gruntu nieprawdziwa i nienaturalna. Jest to zbrodniarz i cynik nie posiadający w swem sercu żadnych drgnień ludzkich, jest to demon, ale nie człowiek. Dodać jeszcze potrzeba, że charakter ten nie jest dostatecznie umotywowany. Jego cynizm zdaje mu się być wrodzonym. Postać ta jest rażącą, a to tem bardziej, jeżeli się ją porówna z innemi osobami, których charaktery nakreślone są śmiało, ale bez przesady i z prawdą. Ojciec Makary i Regina to ludzie nie zwykli, ale ludzie. Obydwa charaktery są ekscentryczne nie mniej jednak prawdziwe i mające prawo obywatelstwa w społeczeństwie. Jakkolwiek jedną i drugą postać uczynił autor przedstawicielkami spornych zasad filozoficznych, nie uczynił z nich upersonifikowanych idei: Makary i Regina nie tylko myślą, ale i czują. Takich postaci jak Antoni coraz mniej w społeczeństwie, istnieją one jednak, a w dramacie wolno autorowi wprowadzać wszystkie charaktery, nie jakie są, ale jakie być mogą. Epizodyczne postaci Melanji i braciszka Jacentego, nie mniej stojące na drugim planie figury Aurelego i Cecylji schwycone są wybornie. Pod względem charakterystyki osób „Ojciec Makary“ zajmuje może najwybitniejsze miejsce między tegoczesnemi naszymi dramatami i o całe niebo stoi wyżej od „Niewinnych.“ Autor dał nam prosty, ale jędrny obraz z życia, a to świadczy o niepospolitym jego talencie. Jeden tylko błąd nie dozwala charakterom wystąpić w całej pełni, a mianowicie

monotonny sposób mówienia wszystkich osób. Wszystkie osoby bez względu na charakter przemawiają w sposób jednakowy nie własnym językiem, ale językiem autora, a trzeba dodać, że jest to język głęboki, ważący każde słowo, czysto filozoficzny. Język ten nadaje wszystkim osobom jednakową dozis inteligencji. Gdyby się autor potrafił nagiąć w tym względzie do słusznych wymagań, postaci jego zyskałyby na tem niezmiernie. Dramat pod względem budowy jest prosty i zupełnie prawidłowy, nie zaszkodziłoby tylko, żeby ekspozycja była trochę jaśniejszą. O ile jednak charaktery w „Ojcu Makarym“ i budowa dramatu zasługują na uznanie i poklask, o tyle intryga jest słabą. Powiedzieliśmy, że ze wszystkich osób jedynie chybioną postawą jest hrabia Ksawery, a Ksawery jest właśnie głównym motorem intrygi. Tak więc jak jego charakter, tak też i intryga polegająca na uprowadzeniu Cecylji z domu Reginy i zemście w ten sposób nad tą ostatnią, nie jest naturalną, ani psychologicznie umotywowaną. W dramacie obrachowanym tylko na efekt intryga taka byłaby dobrą, ale nie w utworze tak poważnym jak „Ojciec Makary.“ Przyznać jednak trzeba, że o ile zawiązek intrygi jest nienaturalnym, o tyle przeprowadzenie jej i rozwiązanie odznacza się prostotą i konsekwencją. Autor nie gonił za efektami, kilka jednak miejsc jest w wysokim stopniu dramatycznych, np. zakończenie aktu Igo, druga scena w akcie IIgim, gdy Makary przychodzi upominać się o porwaną córkę i w akcie III scena, w której przyznaje się do ojcowstwa. Natomiast jedna scena, jakkolwiek efektowna, zakrawa na szarżę. Mamy tu na myśli ów sąd lokajski w akcie drugim, który bądź co bądź nie jest naturalny. Stosuje się to także do rozmowy między Melanją a Ksawerym w akcie Iszym. Niech nam autor daruje, ale powiemy otwarcie, że w ten sposób kochanek z kochanką, choćby sobą pogardzali, rozmawiać nie mogą, szczególnie jeżeli oboje są ludźmi wykształconymi. A jeżeliby tak rozmowę toczyli, to pod żadnym warunkiem nie byłaby między nimi zgoda możliwą. Przerwaliby w połowie rozmowę i cała przez autora obmyślana intryga nie przyszłaby do skutku. Djalog w „Ojcu Makarym“ jest świetny, lecz nie wszędzie jednakiej artystycznej wartości. Najlepiej pod tym względem udała się p. Okońskiemu Isza scena aktu IIgo, w której Regina z Aurelim bardzo zręcznie, choć nie otwarcie wyznają wzajemną miłość. Scena ta jest rzeczywiście arcydziełem. Pod względem siły natomiast przyznalibyśmy pierwszeństwo rozmowie między Makarym a Jacentym w akcie IIIcim. P. Okoński włada językiem jasnym i zwięzłym, pełnym głębokich myśli i ozdobnym oryginalnemi a pięknemi porównaniami. Wykazaliśmy najgłówniejsze strony dodatnie i ujemne dramatu. Dodatnie przeważają w nim znakomicie, a ujemne nie są tak ważne, ażeby zbyt „Ojcu Makaremu“ szkodzić mogły, skoro się zważy, że żadne dzieło ludzkie, wolnem być od nich nie może. Gdyby nie one „Ojciec Makary“ byłby arcydziełem, razem z niemi jest tak pod względem oryginalnego pomysłu, wybornych a nowych charakterów, jak i świetnej budowy, dramatem znakomitym, jakich w naszej literaturze brak prawie zupełny, a w ogólnej europejskiej — także nie wiele. P. Okoński — to dramaturg, którego śmiało możemy przedstawić zagranicy i zapytać: czy wielu takich macie?

Bolesław Czerwieński.

POGADANKI.

XVI.

Okrzyki przerażenia i zgrozy, wywołane bratobójczem starciem się dwóch codziennych pism tutejszych, a których słabem echem była przeszłotygodniowa moja pogadanka, przemieniły się w jedno wielkie, przeciągłe wołanie: Niech żyje scena narodowa! Niech żyje patrjotyczna prasa lwowska! Niech żyje dyrekcja, niechaj żyją redaktorowie, niechaj pieją włoszki, niechaj krytykują recenzenci! Jednem słowem: kochajmy się!

Wśród huku zatoczonych na całej linji baterыj *cyceronowych**), wśród łoskotu szkodliwszej od nich ręcznej broni fejletonowego *garmondu*, wśród dokuczliwego trzasku kronikarskich *petitów*, ozwał się głos prawdziwie dantonowski, głos przypominający owe wiekopomne słowa bohatera wielkiej Rewolucji: *Que mon nom soit flétri, mais que la France soit sauvée! Que m'imperte, qu'on m'appellera buveur de sang, que m'importe ma réputation!* Głos ten wyszedł z bezwyznaniowych łamów *Dziennika Polskiego*. W sobotę jeszcze, mówiąc stylem *Gazety Narodowej*, organ ów koszernoteutoński nakazał był swojemu „pajacowi“ wywrócić parę koziołków humorystycznych, których ogólny efekt, jakkolwiek trywialny, zdolnym był rzucić pewien cień niepiękny na posągową i na wskróś estetyczną postać znakomitego męża, kapłaniącego nad Pełtwią Talii, Melpomenie, Euterpie, Terpsychorze, i wszystkim w ogóle Muzom ubranym i rozebranym, które na deskach teatralnych podziwiać lubimy. Jest bowiem w śmiechu ludzkim pewna siła odpychająca, sprawiająca, iż nawet Agamemnon, Napoleon Wielki, Kornel Krzeczunowicz, albo Holofernes, widziany z pewnej strony, wydaje się śmiesznym, małym i niemądrym. W *Dzienniku Polskim* obrało sobie od niejakiego czasu mieszkanie indywiduum, wyzyskujące to prawidło psychologiczne do ostatnich granic zakreślonych paragrafami c. k. kodeksu karnego. Indywiduum to w sposób cyniczny, i często nawet nie przyzwoity, wyzyskuje drobne zatargi, wydarzające się na bruku lwowskim, i rozdmuchując wielki pożar z małej iskierki, najczystsze, najpiękniejsze, najświętobliwsze nawet osoby przedstawia, jakoby moralnie dzikie, a pozornie tylko oczłowieczałe jestestwa, nietknięte mydłem, gąbką ani wodą. Indywiduum to srodze porażone zostało we wtorek. Indywiduum to, (znane pod nazwą „kronikarza lwowskiego“ w *Dz. Pols.*) zdeptane zostało na miazgę, unicestwione kilkudziesięcioma wierszami *cycera*, wydrukowanemi na pierwszem piętrze tego samego pisma, w którem jemu pozwalają popisywać się co soboty swojemi trefnisiowskiemi diatrybami. Przytoczyłem powyżej wielkomyślne słowa Dantona, ażeby nacechować znalezienie się *Dz. Polskiego* przy tej sposobności. To mało. Danton ofiarował swoją reputację za zbawienie Francji, za zbawienie swojej ojczyzny. *Dziennik* ofiarował wprawdzie mniej, ale też nie dla ojczyzny, dla jednego tylko teatru polskiego. Jednem słowem, wystawił on na sztych swojego kronikarza niedzielnego, wyparł się go uroczyście, a zawołał wielkim głosem: „Wysoki Sejmie, daj pieniędzy, chociażby nawet Dobrzańskiemu, ale niechaj mamy operę polską we Lwowie!“ *Que le diable emporte mon feuilleton, mais que mon théâtre soit sauvé!*

*) *Cicero, garmond, petit* — tak nazywa się w sztuce drukarskiej druk większy, średni i drobny, używany w dziennikach. (P. A.)

Przyklasnąć takiemu zaparciu się osobistych niechęci, a uwzględnieniu interesu publicznego, jest tem bardziej obowiązkiem moim w *Tygodniu*, gdy jestem przekonany, że jeżliby p. Henryk Rewakowicz prosił o subwencję na utrzymanie teatru, a p. Jan Dobrzański pisywał kroniki lwowskie, nigdyby *Gazeta Narodowa* nie zdołała wykrztusić słówka: „Dajcie!“

Cieszy mię to, że mamy jeszcze patrjotów między dziennikarzami, a szczególnie cieszy mię to, że temu, temu..... pajacowi *Dziennika Polskiego* wskazano przecież raz właściwy sposób traktowania spraw publicznych. Taki fejletonista tygodniowy, ponieważ umie poprzestawiać w prostem zupełnie zdaniu wyrazy w sposób sprawiający wrażenie rozweselające, albo ponieważ umie podpatrzeć mniej wzniosłe strony w olbrzymach naszego życia parlamentarnego, literackiego, i artystycznego, pozwala sobie nieraz figlów zasługujących na jak najsroższe skarcenie. Dobrze mu tak! Niechaj wie, że *Dziennik Polski* wychodzi nietylko c o d z i e ń, ale i p o p o l s k u! Dwadzieścia pięć — tysięcy p. Dobrzańskiemu!

* * *

Spór teatralny, którym już drugi tydzień próbuję bawić łaskawych moich czytelników — zważywszy, iż nie podobna mi bawić ich i weselić niesankcjonowaniem ustawy przeciw pijaństwu, albo niedoszłym do skutku projektem wychowywania w Dublanach ekonomów, rozmiłowanych w kirylicy i obeznanych z jej finesami — spór teatralny tedy, zrodził we mnie ochotę oglądania przedmiotu spornego, zwłaszcza gdy pod wrażeniem wtorkowego artykułu *Dziennika Polskiego* postanowiłem do każdego guldena c. k. podatku dopłacić bez szemrania tyle centów, ile ich potrzeba, ażebyśmy mieli operę we Lwowie. W skutek tego, minąwszy bez szwanku wszystkie przeszkody komunikacyjne, któremi wszechmądra zwierzchność miejska zwykła najeżać ulice naszego stołecznego, królewskiego grodu, i uszedłszy ponętnym pokusom preclarzy i kwieciarek przed gmachem skarbkowskim bez wielkiego wyłomu w moim budżecie, po latach siedmiu po raz pierwszy przebyłem półtora aktu Donizettego, to znaczy, oglądałem górali szkockich w stroju hiszpańskim, słuchałem dystonujących okropnie dętych instrumentów mosiężnych, miałem współczucie dla kapelmistrza w chwili, gdy jednym zamachem swojej rószczki czarodziejskiej nakłaniał dwadzieścia chórzystek, ażeby zamiast loży nr. 1 i 2, zwróciły uwagę na pewne *ut - minor*, na którem kompozytorowi więcej zależało, niż panu hrabiemu X. na ich czarnych, niebieskich, siwych lub piwnych oczach. Jednem słowem, byłem na przedstawieniu Lucii di Lammermoor, i oto, jakie odniosłem wrażenie.

Jeżeli opera wiedeńska przy tamtejszych cenach wstępu ma niedobór 250.000 złr. dopłacany z funduszów publicznych, a teatr lwowski pobiera tylko 16.000 subwencji, więc to co jedna i druga z tych scen daje pnbliczności, powinno stosować się jak 16: 250, lub króciej, jak 1 : 15, czyli innemi słowy, powinni nam śpiewać we Lwowie piętnaście razy gorzej, niż śpiewają w Wiedniu. Wiadomo, że tak nie jest, i że w Wiedniu, w przecięciu, śpiewają zaledwie o 50% lepiej niż u nas. Dekoracje i *mise en scène* zostawiają u nas wiele do życzenia, ale proszę zobaczyć operę w Pradze, w Gracu, albo nawet w której niemieckiej rezydencji książęcej, a każdy przyzna,

*

że i pod tym względem, o ile było można, uczyniono zadość wybrednym wymaganiom publiczności. Przystąpmy więc do ocenienia perły, podanej nam w tej oprawie z malowanego płótna, rozstrojonych fagotów, ochoczych solistów i roztargnionych chórzystek—wszak mieliśmy spór o primadonnę.

Jako prawdziwy Lwowianin, miałem w tej mierze moje uprzedzenia. Wyobrażałem sobie, że primadonna jest to osoba, której nie pokazują ludziom, póki nie ma lat najmniej czterdziestu i pięciu, i póki pod względem tuszy nie osiągnie rozmiarów spłaszczonego sferoidu, jakim jest np. matka nasza ziemia. Wyobrażałem sobie, że w operach cały dowcip polega na tem: Publiczność wpuszczona na salę wyobraża sobie, iż w 3cim, 4tym, albo 5tym akcie tenor, baryton i bas powiedzą wpadającej pomiędzy nich jejmości: „No, teraz dosyć, mamuniu, idź spać!“ Tymczasem na przekór tym domysłom, tenor ginie z miłości dla piejącego czule pęku krynolin, baryton, rozrzewniony tym widokiem, pomaga krynolinom umierać koło drgającego ostatniemi do-re-mi-fa-sol-la-si tenora, a bas, o ile mu tchu staje, usiłuje wyrazić swoje ubolewanie na widok tej katastrofy, wskazując ręką, jak niskiem *mi* uczciłby zgon czułej pary, gdyby takie *mi* można mieć za 150 zlr. miesięcznie. Tak wyobrażałem sobie operę, i tak każdy ją sobie wyobrażać powinien. Otóż panna Marco, obecna koloraturowa śpiewaczka tutejsza, ani trochę nie ziściła tych słusznych i uprawnionych oczekiwań moich. Od początku do końca wyglądała tak, że byłem i musiałem być przekonanym, iż tenorzysta kocha się w niej szalenie. Co mi to za primadonna, która nie jest ani stara, ani brzydka, ani pękata! *Der ganze Witz geht ja verloren!* Jeżeli dodam do tego, że panna M. wyśpiewując trudniejsze ustępy kompozycji, nie ściska się oburącz za piersi, ażeby zwrócić powszechną uwagę na to, iż jedynie ostatnie, kurczowe natężenie sił żywotnych zdolnem jest wycisnąć takie trele z niewieściego łona—to przyznać muszę słuszność pp. recenzentom, którzy śpiewaczce tej odmówili swojego uznania. Jednem słowem, jeżeli ma być śpiew, koloratura, i efekt melodramatyczny, niechaj go będzie najmniej 80 kilogramów, i niechaj ja widzę, że ktoś męczy się i poci za moje pieniądze, albo—nie pójdę do teatru! Swoją drogą wszakże, popieram jak najusilniej żądanie *Dziennika Polskiego*, by wysoki Sejm podwyższył subwencję dla opery lwowskiej.

Jan Lam.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy).

Paryż dnia 1. Kwietnia 1876.

Być bardzo może, że p. Krokowski, lub jak tu się pisze Krokovskoi, przyniósł swój dramat do p. Dumas'a w podobnej mniej więcej treści, ale pod piórem francuskiego współpracownika uległ ten utwor takiej transformacji, że z pierwotnego pomysłu niewiele musiało zostać, a na nowym zbyt widocznie znać fakturę p. Dumas'a, żeby go nie uważać za głównego autora.

P. Dumas przenosi rzecz do bliższych czasów, zawsze jednak kiedy jeszcze w Rossji istniało poddaństwo, t. j. w r. 1851. Wdowa hr. Daniszew, nadęta, absolutna i pełna przesądów kastowych pani, co już jest na owe czasy lekkim anachronizmem, ma jedynaka syna, Włodzimierza, którego ubóstwia i o jego tylko szczęściu marzy. Syn zakochany jest w ładnej poddance Annie, którą hrabina wychowała i wykształciła, i pragnie ją poślubić. Hrabina mając inną ukartowaną dla syna partję w osobie księżniczki Lidji Walanoff, mieszkającej z ojcem swoim w Moskwie, opiera się synowi. Nie mogąc go przezwyciężyć, zawiera z nim rodzaj umowy. Włodzimierz pojedzie do Moskwy i będzie uczęszczać do księżniczki Lidji: jeżeli po roku tej próbý wytrwa w dzisiejszych uczuciach dla Anny, matka na ślub zezwoli. Ale zaledwie syn opuszcza progi matczynego domu, hrabina przywołuje kuczera swego Osipa i ofiaruje mu Annę na żonę, a w dodatku libertację. Osip, który pomimo odległości oddzielającej stajnię od salonów, właśnie zakochany w Annie, z radością przyjmuje propozycję. Przywołują plebana ze służbą cerkiewną i wraz Anna pomimo jej rozpaczliwych krzyków, łez i błagań, zostaje poślubioną kuczerowi.

Hrabina postawiwszy w ten sposób nieprzebytą tamę pomiędzy Anną a swoim synem, liczy na potęgę czasu, a może więcej jeszcze na wdzięki księżniczki Lidji. Tymczasem Włodzimierz w Moskwie, obudził wprawdzie szaloną miłość w księżniczce, ale sam został wierny dawnym uczuciom. Po kilku miesiącach pani Daniszew przyjeżdża do Moskwy i tu z jej przyjazdem pewien sekretarz francuskiego poselstwa p. Taldé, zalecający się do księżniczki, dowiedziawszy się od sług, co zaszło na wsi, Włodzimierzowi wydaje ukrywaną przed nim tajemnicę, a księżniczce odsłania miłość Włodzimierza dla Anny. Następuje scena pomiędzy matką a synem, w której ten literalnie zwierza się matce, nazywa jej czyn niegodnym i pędzi na wieś z postanowieniem jak mówi, zabicia Osipa i Anny. Matka przerażona groźbą syna udaje się również w podróż, żeby go wyprzedzić, a odepchnięta księżniczka poprzysięga Włodzimierzowi zemstę.

Trzeci akt odsłania nam wiejską Idyllę. Anna gra symfonje na fortepjanie, a Osip wtóruje śpiewem. Zaczyna się djalog o domowem pożyciu; występuje na scenę bukiet kwiatów, który staje się materją do czułych gruchań Osipa w rodzaju szekspirowskiego Romeo — i tu dowiadujemy się, że małżonkowie ci są dla siebie dotąd niczem więcej, jak tylko bratem i siostrą. Przybywa hrabina i daje rozkaz Osipowi gotowania się do podróży. Osip chce zabrać ze sobą żonę. „Nie, nie — mówi hrabina — Anna zostaje.“ Osip wypowiada posłuszeństwo i przypomina, że już poddanym nie jest. „Nieszczęsny!— woła hrabina — dowiedz się, że Włodzimierz wciąż kocha się w Annie i tu lada chwila nadjedzie.“ Osip oburza się na tę myśl, że hrabina chce rzucić jego żonę w objęcia syna; hrabina przekłada mu, że Anna skończy na tem sama; Osip temu zaprzecza i rzeczywiście przywołana Anna zwierza się *a son tour* ku hrabinie. Zapewne byłoby bardzo pięknie z jej strony odrzucić charakter faworytki, ale Anna uderza w inną nutę, która w oczach autora powinna sprawić wielki efekt. „Dopóki noszę imię tego człowieka— woła oburzona Anna — będę je szanować.“ To już zakrawa na przesadę. W tem otwierają się drzwi: ukazuje się Włodzimierz. Anna wydaje przeraźliwy okrzyk i znika. Matka na żądanie syna wychodzi i oto pan i kuczer pozostają sam na sam. Możnaby zrobić uwagę, dla czego hrabina tak spiesząca wyprzedzić syna lękając się katastrofy, teraz właśnie w najkrytyczniejszej chwili wychodzi? W pewnej mierze usprawiedliwia ją to, że Włodzimierz wpada uzbrojony nie morderczym orężem, ale prostym batogiem. Snać autor po namyśle przyznał to za więcej zgodne *avec la couleur locale*. „Ha! — wykrzykuje gniewem wybuchający Włodzimierz — czy tak niewdzięczniku zapłaciłeś mi za to, że ojca twego i matkę wyprosiłem niegdyś od plag sromotnych? Że uczyniłem cię towarzyszem moich zabaw i prawie uczestnikiem mojego wychowania?“... Tu dopiero po raz pierwszy dowiadujemy się, dla czego kuczer Osip zdolny jest wyrażać się wykwintnym językiem salonów i posuwać czułość i delikatność do najsubtelniejszych odcieni. Włodzimierz wścieka się, zamierza się po kilkakroć batogiem — aż nareszcie Osip wyjaśnia, że zachował dawnemu swemu panu żonę. Powraca hrabina, Włodzimierz przeprasza Osipa — ale co czynić? Żeby otrzymać rozwód, Osip gotowy jest nawet oskarżyć się o jakąkolwiek zbrodnię, co sprowadza wraz z karą śmierć cywilną. Włodzimierz nie przyjmuje podobnej ofiary i wyszeptuje do matki moralną sentencję: „Ten człowiek więcej wart niż my.“

W czwartym i ostatnim akcie jesteśmy w domu hrabiny jak w akcie pierwszym. Tu dowiadujemy się, że księżniczka Lidja podjęła się wyrobienia rozwodu. Czekają z upragnieniem jej przyjazdu ze stolicy. Anna już jako narzeczona Włodzimierza jest w domu hrabiny, gdy Osip ma być w podróży do Petersburga. Nadjeżdża księżniczka Lidja, która jak się pokazuje, wzięła na siebie staranie wcale nie dla otrzymania rozwodu, lecz przeciwnie, żeby pozyskać ostateczną odmowę ze strony cara i w ten sposób odemścić Włodzimierzowi odrzucenie jej ręki. Kabałę tę wytropił znowu ów francuski dyplomata; rzecz staje się coraz zawilszą; scena napełnia się uczestnikami komedji, między którymi jest i ów miejscowy pleban, który tak łatwo przymusowe związki uświęca; wszyscy z trwogą uznają, że nie ma żadnego wyjścia — gdy w tem wchodzi wracający z Petersburga Osip... „Przewielebny ojcze — mówi do plebana — czy wstąpienie do zakonu jednego z małżonków, wyswobadza drugiego z małżeńskich węzłów?“ „Bez wątpienia mój synu — odpowiada kapłan — ale otrzymać to zezwolenie bardzo trudno.“ „Oto jest indult“ — dodaje Osip, wydobywając akt z zanadrza. Powszechne zdumienie. Osip już quasi duchowny daje błogosławieństwo wiernym kochankom.

Żeby otrzymać to *Deus ex machina*, w drugim akcie wprowadzony był gorzałczany arendarz Zacharew, który ofiarował księżniczce kubana na otrzymanie od jenerał-gubernatora zezwolenia, zwiększyć liczbę szynków. Księżniczka udaje, że się na to zgadza i otrzymawszy od bogatego arendarza assygnację na sto tysięcy rubli, tuż wręcza ją jakiejś baronowej zbierającej składkę na fundację klasztoru, jako ofiarę w imieniu i w przytomności mniemanego dobroczyńcy. Oszukany Zacharew wychodzi zaprzysięgając księżniczce zemstę. Otóż ten sam Zacharew robi nową ofiarę z dwóchset tysięcy rubli na zbudowanie cerkwi i za to, na złość księżniczce, otrzymuje indult dla Osipa. „Pani to wskazała mu tę drogę do dobrych uczynków“ — mówi do księżniczki sarkastyczny Francuz rad, że dokuczyć jej może także za odrzucenie jego zabiegów.

Taka jest budowa tej mniemanej komedji,

która niewiadomo dla czego nosi tytuł „Daniszewy“, gdy właściwiej powinnaby mieć nazwę: „Tryumf prawdziwej miłości, czyli wspaniałomyślny kuczer.“ Cała też komedja pełna jest niekonsekwencyj. Autor znalazłszy w pierwotnym utworze tradycyjnego kuczera, poszedł tu oczywiście zwykłą drogą wywracania przyjętych pojęć, i wyidealizował go na bohatera. Dla czegoż wieśniak wychowany razem z paniczem, uczestnik jego zabaw i prawie nauki, zgoła wykształcony na tyleż, co jego pan, zamiast zająć jednę z tych licznych funkcyj w majątku i na dworze, która właściwiej mogła odpowiadać jego usposobieniom i zarazem uczynić prawdopodobniejszą ową gorącą miłość ku ulubionej wychowanicy pani, przeznaczony został raczej do stajni na kuczera? Niestety! dla większego efektu. A jednak miłość nie opanowuje serca na jeden widok wdzięcznej postaci, ale przy zbliżeniu dwojga młodych ludzi płci różnej — inaczej jest to tylko pożądanie, zgoła pociąg zwierzęcy. Wprawdzie i salon pani Daniszew jest w pewnej mierze zwierzyńcem: są tu psy, koty i papuga — ta ostatnia miesza się nawet do ogólnej rozmowy. Jeżeli prawda, że w mózgu ludzkim są pewne reminiscencje rasowe, które Platon posuwał aż do przedświata, autor musiał dać rolę świegotliwej obywatelce Afryki, pod wpływem jednego z tych wspomnień. To pewna, że mózg europejski niełatwo zgadza się na te nieustanne niekonsekwencje i łamanie ogólnych pojęć. Tak hrabia Daniszew prosząc matkę o zezwolenie na ślub z Anną, uprzedza widza, że nigdy jej jeszcze o swojej miłości nie mówił i następnie od niej o wzajemności nie słyszał. Po tem wyznaniu tuż wyjechał do Moskwy. Na czemże opiera postanowienie zabicia Anny, jak gdyby ta stała się sprzeniewierzoną kochanką? Ta chęć zemsty na tyleż jest nielogiczna, jak zarzut kuczerowi, że porwał kobietę przeznaczoną mu na żonę, gdyż o tej umowie pomiędzy matką a synem, ani kuczer, ani Anna nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli. Wybuch oburzenia w scenie z matką, jest brutalnem pogwałceniem moralności naszego czasu. (Dok. n.)

Listy z Krakowa.

Kraków 10 kwietnia.

Amice, ascende superius! Przyjacielu postąp wyżej! Był wtedy w świątyni Melpomeny, kiedy po raz pierwszy owo wezwanie usłyszał. Starożytni przedstawienia w tej świątyni nazywali nsztą. Ucztował też i nasz bohater. Jednocześnie sposobiąc się do przyszłego powołania studjował ze szczególnym zapałem role *Tartuffe'ów*. Teatr obok niższego zadania szkoły kształcącej moralne i estetyczne uczucia narodu, ma jeszcze cel wyższy — sztukę zręcznego charakteryzowania się, przybierania najrozmaitszych postaci i przemawiania językiem każdej roli. *Nasz* dostrzegł ów cel, uważnie się w niego wpatrzył i z zasobem nadziei, które w przyszłości wybornie procentować miały, zaczął ćwiczyć w lustrze mięśnie swej twarzy, wyginać głos, gimnastykować górne i dolne kończyny. I ktoby się był spodziewał, że w piersi komika ubogiej trupy zarzyły się święte iskry jezuicko-polskiej missji, które w dalekiej przyszłości *Czas* miał rozdmuchać w płomienie „mistrzowskiego“ oratorstwa. Ktoby się — mówimy — spodziewał, że nucieszny i mizerny błazen prowincjonalnej hecy, zamieni kiedyś swą czapeczkę z dzwonkami na kanonicki biret i koronę patrona Polski? A jednakże tak było i tak się stało, naprzekór wszystkim rachunkom prawdopodobieństwa. Bo właśnie w chwili, gdy arcykapłan owej biednuchnej świątyńki, gdy gospodarz owych starożytnych uczt podrażniony zbyt jaskrawemi pantominami zaproszonego i krzykliwemi kogutami jego dykcji, chciał rzec: „Przyjacielu, zstąp niżej“— *nasz* usłyszał z góry: „Przyjacielu, postąp wyżej!“

Postąpił na ambonę chrześcijańskiej świątyni Krzyża w stolicy Polski. Było to znacznie wyżej — fizycznie i duchowo. Wyższa pensja, wyższa estrada, wyższa społeczna ranga. Sceniczne doświadczenie, umiejętność przerzucania się z jednego charakteru w drugi, wprawę w akrobatyczne sztuki — wszystko to *nasz* na nowej swej pozycji umiejętnie zużytkował. Strugi też łez popłynęły z oczu dewotek po kamiennych płytach świętokrzyskiego kościoła, gdy *nasz* począł na ambonie udawać. Wkrótce jego pantominy stały się ulubionym spektaklem pobożnej i niepobożnej rzeszy, tak że dyrektorowie ogrodowych teatrzyków i cyrków ujrzeli się nagle opuszczeni przez swą najwierniejszą publiczność. Już połączonemi siłami gotowali się wstrząść podstawą rusztowania, na którem *nasz* im chleb odbierał, gdy w tem on usłyszał po raz drugi głos z góry: „Przyjacielu, postąp wyżej!“

Właśnie bowiem wtedy otwierała się nowa do tego sposobność. Niewdzięczny i niepomny łask cesarskich naród chwycił za występną broń, pod lichemi godłami zbawienia ojczyzny. Poczciwcom przywidziało się, że poryw ten był rezultatem szlachetnych instynktów, że jego uczucia płynęły z najczystszych źródeł, zaraz wszakże pewien „dobrze poinformowany organ“ z ulicy Miodowej w Warszawie, a później inny, adoptowany syn tamtego, rezydujący na Różanej w Krakowie, donieśli czarno na białem, że cały ów „bunt“ był sprawą niegodziwą, po której zostanie niezmazana plama na kartach naszej historji. Trzeba odróżniać — powiada *nasz* dzisiaj — wieszczów poetami zwanych, od proroków natchnionych przez Boga. Otóż jego rzeczywiście w tym wypadku odróżnić należy. Bo gdy już zajął wyższe w swem posłannictwie stanowisko począł z ambony rzucać obelgi na „buntowszczyków.“ Nie ojczyzna, nie matka częstochowska jest waszą matką — rzekł raz w paroksyźmie zapału — ale petersburgska. Zatarł ręce gospodarz polski widząc, że jego przyjaciel tak dobrze się sprawia, nie podzielili wszakże tego zadowolenia współbiesiadnicy zgromadzeni na uczcie religijnej. *Nasz* spostrzegłszy to, znowu sięgnął do torebki i wydobył z niej patrjotyczną maskę. Gdy jednakże widzowie tej sceny odwrócili się ze wzgardą i chcieli artystę bardzo nisko zsadzić, on usłyszał po raz trzeci tajemne wezwanie: „Przyjacielu postąp wyżej!“

Wstąpił na urząd proboszcza parafji krakowskiej. Tu miał być już kres jego postępowań. Dawszy kilka przedstawień na swój benefis i zjednawszy sobie akrobatyczno-aktorskim talentem koło zwolenników, zajął się sprowadzeniem różnych ułamków swej przeszłości do jednego wspólnego mianownika — polsko-katolickiej idei. Długo wahał się wystąpić z całkowitym rachunkiem, aż przecie chwyciwszy sposobność śmierci człowieka zacnego, przebrał się w jego skórę i palnął naukę „patrjotycznego“ katechizmu.

Kto naprzód wytarł sobie czoło środkami obłudy, później je na chwilę odsłonił, a w końcu sam ozdobił świętym nimbusem, ten już istotnie nie może pójść dalej, bo by mu nie starczyło wszystkich ujemnych sił możliwych w naturze ludzkiej. Naszemu więc już nikt nie może powiedzieć: „Przyjacielu zstąp niżej“ — a on sam sobie: „Przyjacielu postąp wyżej.“

Taki mi przed kilku dniami zarysował się w głowie szkic do powieści. Odstępuję go bezinteresownie każdemu, ktoby go chciał zużytkować, przechodzę od bohaterów zmyślonych do rzeczywistych — do p. Goljana. Literatura jezuickiego furioso wzbogaciła się przed kilkunastu dniami z ust jego nowym i ciekawym przyczynkiem. Smutną stroną jego mowy był powód, jaki ją wywołał, brudną — tendencja, do jakiej zmierzała, a humorystyczną cała argumentacja. P. G. dość zgodnie ze swą polityczną przeszłością, a w zupełności zgodnie z polityczną teraźniejszością *Czasu* nie omija żadnej sposobności zohydzenia wypadków 1863 r. Ze wszystkich niegodziwych i nierozumnych pozycji, jaką w obec tych wypadków zająć można, najniegodziwszą bez wątpienia i najnierozumniejszą jest spotwarzanie ich pod maską patrjotyzmu. Gdyby cała Polska, a nie jej wyrodki, wystąpiła dziś z podobnem mniemaniem, doprawdy śmiesznemi by się wydały wszystkie skargi przeciwko rossyjskiemu rządowi. Bo przecież i on niczego innego nie dowodził, tylko że powstanie było dziełem wartogłowów, ludzi zepsutych i moralnie pokalanych. *Czas* i p. Goljan nie są więc nawet do tyla oryginalni i wstrzemięźliwi, ażeby wymyślili inne motywa dla swych potępiań od tych, jakie już podał *Dziennik Warszawski*. Powtarzają toż samo, co mówił w cytadeli Tucholko i cyniczniej od niego usprawiedliwiają zsyłki w Sybir. Bo jeżeli powstańcy byli zbrodniarzami, czy można było z nimi coś lepszego zrobić, jak posłać do kopalń lub na osiedlenie w Azji? Jedna doprawdy okoliczność jest zadziwiająca. Kraków z ochrypłem od zmęczenia gardłem wrzeszczy o swojej prawowitej polskości i jednocześnie słucha, z zachwytem lub pobłażaniem, publicznie wypowiadanych przeciwko niej obelg. Może ktoś zechce w tym punkcie upomnieć się o prawa tolerancji. Na to odpowiem tyle: nie trzeba nadużywać daremnie wyrazu a trzeba się nad jego znaczeniem zastanowić. Tolerancja jako zasada państwowa jest prawem świętem, ale jako zasada powszechnej opinji, jako reguła obowiązująca w sferze umysłowej i moralnej jest niedorzecznością. Jeśli w społeczeństwie — powiada J. S. Mill — znajdzie się jedna osoba odmiennego zdania, ogół nie ma prawa odjąć jej głosu. Bezwątpienia. Czy jednakże ten ogół nie ma prawa zwalczać tego zdania, jeśli je uzna za błędne lub szkodliwe? Weźmy przykład. W krajach wolnych, może każdy bez przeszkody twierdzić, że nie ziemia a słońce koło niej się obraca i że sprawa narodowego wyzwolenia jest sprawą niegodną. Czy jednakże ludzie nauki mogą tolerować głupstwo a cały naród — przeniewierstwo? Bynajmniej. Jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że gdyby jakikolwiek postępowy organ był przekonany, że jednem słowem zabije wszystkie organa szerzące ciemnotę, nie wahałby się ani chwili słowa tego wymówić. *Gazeta Narodowa*, *Dziennik Polski*, *Tydzień*, *Szkice* nie robiłyby z pewnością żadnego skrupułu w zabiciu *Czasu*, *Przeglądu Polskiego i Lwowskiego*, gdyby wiedziały, że jednym artykułem tej operacji dokonają. Bo czemże są wreszcie wszystkie cząstkowe walki jednych pism z drugiemi, jeżeli nie ciągłem usiłowaniem wzajemnego pokonania się? Gdzie tu więc może być mowa o tolerancji? Naród, albo raczej jego stronnictwa nie są nigdy obojętnymi widzami losów tego kierunku, który im się jedynie słusznym wydaje, zatem nie mogą kierunków przeciwnych tolerować. Co innego jest tolerancja państwowa. Tu rzeczywiście nie powinna ograniczać jednostkowej swobody, przez to samo, że niraz może przygnieść opinję sprawiedliwą i rozumną.

Prawa tej tolerancji nie mamy wcale zamiaru p. Goljanowi odmawiać. Ale inaczej rzecz się ma z tolerancją umysłową i moralną. Jeżli p. Goljan szczepi fanatyzm, ciemnotę, jeśli obraża uczucia narodowe, mamy wszelką rację dać sobie zupełną względem niego dyspensę. Polem walki 1863 r. była jedynie Polska pod panowaniem rossyjskiem i na nią jedynie spadły tej walki następstwa. Mimo, że warunki obecne nie stanowią żadnej przeszkody, mimo że cenzura puściła by chętnie każdy protest przeciwko powstaniu, żaden patrjota tej ziemi z podobnym protestem nie wystąpił. Jeżeli więc ten sam naród, który podniósł oręż i został za to ukarany, tak dalece szanuje przyczyny i skutki swego kroku, że go najmniejszą wymówką nie obraża, pytam co za słuszne i uczciwe prawo ma jakiś tam wygnany ogólną wzgardą z Warszawy odstępca „patrjotyczne“ rzucać na niego potępienia? Ktokolwiek może być powołany do sądzenia Polski w 1863, z pewnością nie otrzymają tej godności ani Rydzewscy ani Goljany. Do tego trzeba mieć inną kwalifikację, niż wzgardę Warszawy w złotej oprawie zasług krakowskiej ambony. (Dok. nast.)

Z pola wielkich wynalazków.

Volumometer, nowy przyrząd fizjologiczny.

Volumometer, przyrząd nawet w fachowych kołach umiejętnych prawie jeszcze nieznany, może stać się jednym z najważniejszych środków pomocniczych w badaniach fizjologicznych. Sądząc z tych rezultatów jakie dotąd osiągnięte nim zostały, należy się

spodziewać szeregu ważnych odkryć w najważniejszych dotąd dziedzinach naszego duchowego i cielesnego życia. Volumometer jest to aparat przeznaczony do mierzenia zmian objętości na żywych częściach ciała ludzkiego lub zwierzęcego.

Pierwotnie skonstruował go dr. Messo w Turynie do swych specjalnych poszukiwań; szersze znaczenie otrzymał przyrząd ten dopiero później.

Zasada przyrządu jest nader prosta. Część ciała poddana badaniu np. kończyna (ręka, noga) jest w przestrzeni ściśle ograniczonej i zamkniętej otoczona cieczą, która może przez otwór w ścianie swobodnie wpływać i wypływać. Jeśli się zmieni objętość ciała badanego, np. powiększy, to ciecz musi naturalnie z przestrzeni nią napełnionej występować na zewnątrz. Przy zmniejszeniu się objętości zajść musi przypadek odwrotny. Gdybyśmy więc posiadali sposób mierzenia bezwzględnego, lub nawet tylko względnego rzeczy wypartej lub wessanej, to tem samem mierzylibyśmy wprost zmianę objętości części ciała badanej.

Zadanie powyższe mogą spełniać przyrządy właśnie skonstatowane. Gdy zaś badania ograniczały się dotąd głównie do ludzkiej kończyny górnej (ręki) urządzenie więc było następne:

Wyobraźmy sobie walec szklany lub metalowy poziomo leżący takich rozmiarów, aby mógł objąć kończynę górną człowieka dorosłego. Do końca walca zamkniętego przytwierdzoną jest poziomo cienka rurka szklana. Drugim otwartym końcem walca wsuwa się ręka przeznaczona do badania, przestrzeń zaś wolną między brzegiem ścian walca a ręką zatyka się szczelnie spręžnikiem (kauczukiem) tak jednak aby obieg krwi w ręce nie doznawał przeszkody. W początku badania spoczywa przedmiot badany spokojnie, a przyrząd opisany opiera się na stołeczku obok stojącym. Teraz zatyka się koniec cienkiej rurki, a przez otwór w ścianie walca urządzony do zasuwania napełnia się letnią zabarwioną wodą przestrzeń wolną między ścianą walca a tkwiącą w nim ręką. Napełniwszy walec, zasuwa się hermetycznie otwór, którym się wodę nalewało, a odtyka natomiast koniec rurki szlanej. Ciecz w rurce zawarta, posunie się nieco naprzód, nie wypłynie jednak z powodu ciśnienia powietrza. Przyrząd jest teraz do badania gotowy. Przeznaczenie słupka wody w rurce szklanej łatwo odgadnąć: ma on uwidocznić zmiany objętości zachodzące w badanym członku. Urządzenia dodatkowe pomijamy jako rzecz poboczną; takiemi są urządzenia do mierzenia ciepłoty wody, napełniającej walec, do automatycznego rejestrowania zmian w nieobecności obserwatora itp.

Pierwszem zjawiskiem jakie spostrzeżemy, będą drobne rytmicznie się powtarzające wahania słupka wody w rurce szklanej. Dowodzą one, że przyrząd nasz uwidocznia nawet te drobne zmiany objętości, które wskutek skurczenia serca i wdechów sprawia przypływ i odpływ krwi z części badanej. Zjawiska tego spodziewać się było można. Lecz pomiędzy rezultatami badań wykonanych dotąd za pomocą volumometru są i takie niezwykłe zjawiska, które lepiej rozebrane dać nam mogą wyjaśnienie o procesach w ciele ludzkiem, nieprzystępnych dotąd całkowicie lub przynajmniej częściowo fizjologicznemu badaniu. Tak n. p. powstawanie snu różnie dotąd tłumaczono. Volumometer daje nam o tej sprawie jasne wskazówki, jak to zaraz zobaczymy.

Wyobraźmy sobie, że człowiek badany leży spokojnie oczekując snu. Długi czas widzimy tylko wspomniane wyżej drobne oscyllacje słupka wodnego. Naraz spostrzegamy znaczne wznoszenie takowego; jest to chwila, w której nastąpiła nieświadomość, chwila zaśnięcia. Przy następnem uderzeniu tętna stan słupka wodnego podnosi się jeszcze wyżej, w krótkim czasie rurka napełnia się całkowicie wodą, która wycieka kroplami przy każdem uderzeniu tętna.

Ze zjawiska tego wyciągamy wniosek, że serce oddało pewną część krwi obwodowi ciała, gdzie takowa podczas snu została zatrzymaną, co sprawiło powiększenie objętości ręki badanej (równie jak reszty kończyn). Lecz ilość ta krwi musiała zostać odjętą jakiemuś organowi, w którym podczas jawu się znajdowała. Jakiemu, to zobaczymy w dalszym ciągu.

Zwiększenie objętości ręki badanej skutkiem zwiększonego dopływu krwi, trwa około godziny; jest to perjod najgłębszego snu; odtąd aż do przebudzenia rannego poczyna słupek wodny w rurce opadać, a z chwilą obudzenia dosięga tej samej wysokości jaka była przed zaśnięciem. Takim bywał przebieg zjawiska przy każdym śnie bez przeszkód. Często jednak spostrzegamy naraz znaczniejszy opad słupka wody w rurce. Zdarza się to przy każdem podrażnieniu któregokolwiek ze zmysłów śpiącego. Zbliżmy np. lampę do jego twarzy, lub muśnijmy ją piórem, albo sprawmy szmer: zobaczymy natychmiast chwilowy opad słupka wodnego, który po kilku dopiero minutach powróci do swej normalnej wysokości.

Lecz i bez naszej przyczyny i pozornie bez wszelkiego zewnętrznego powodu spostrzegamy czasem nagłe obniżenie się słupka wodnego. Zrazu nie możemy sobie tego objawu wytłumaczyć, natężając jednak uwagę słyszymy, że ktoś po schodach idzie: śpiący słyszał to czego my nie słyszeli, otwieranie bramy. We wszystkich wyszczególnionych wypadkach zmysły odbierały wrażenia zewnętrzne ze ścisłością matematyczną, a odbiór tych wrażeń uwidoczniał się na przyrządzie. Śpiący więc widzi, słyszy, czuje zewnętrzne wrażenia, te jednak nie dochodzą do świadomości, jak długo nie są za nadto silne. Podobnie dzieje się na jawie. W śród zgiełku i hałasu ludnego miasta dochodzi do naszej świadomości mała cząstka wrażeń, a przecież widzieliśmy i słyszeli wszystko co w ogóle było do widzenia i słyszenia.

Ciekawe są także spostrzeżenia nad snami. Nietylko po minie i ruchach śpiącego widzimy, że on śni, słupek wodny okazuje także swemi nieregularnemi oscyllacjami wrażenia senne i ich trwanie.

Tyle co do ogólnych spostrzeżeń, poczynionych podczas snu. Tuszyć się godzi, że dalsze badania w tym kierunku dadzą nam ciekawe wyjaśnienia o naturze snu i sennych marzeń.

(Dok. nast.)

Kartki z obczyzny [1]

I.

(O stanowisku Niemiec i Prus w historji cywilizacji. — Wpływ Francji na Niemcy. — Encyklopedyści. — Stein. — Rok 1789 i 1848. — Hugenoci w Niemczech. — Jena i Sedan. — Niemcy „an der Spitze der Civilisation.“ — Położenie ekonomiczne Europy. — Studjum p. Beaulieu. — Przyczyny przesilenia ekonomicznego i emancypacyjne zachcianki Niemiec. — Statystyka przemysłu i handlu. — Stan finansowy Francji. — Wpływ instytucyj republikańskich. — „La France et les Polonais“ — List W. Hugo do p. A. Garbińskiego.)

Zanim, szanowni czytelnicy, w jednym z przyszłych listów określę znaczenie i stanowisko Niemiec w nauce, literaturze, poezji i sztuce, pozwolicie, że dziś zajmę się tylko kierunkiem społeczno ekonomicznym i postaram się wykazać, jaką rolę zajmują pod tym względem Niemcy w historji cywilizacji powszechnej.

Z góry jednak widzę się w obowiązku przeprosić Was, że pierwszą moją korespondencją muszę obciążyć nieco większą ilością cyfr, aniżeli bym sobie życzył ze względu na wspólny nam wszystkim śmiertelnikom cyfrowstręt, ale przedmiot, który poruszyć zamierzam, bez tego cyfrowego balastu utonąłby z pewnością w morzu ogólników. Zresztą zapewniam najuroczyściej, że w szafowaniu cyframi jestem oszczędniejszym od Molierowskiego Harpagona.

W ostatnich czasach często Wam się czytać zapewne zdarzyło w dziełach i piśmiennictwie perjodycznem francuskiem następujące zdanie: — „Francja przeobraziła Europę przez ideę, Niemcy z pomocą iglicówki!“......

Jakkolwiek porównanie to grzeszy przesadą i tendencyjnością, nie można jednak zaprzeczyć, że ono do pewnego stopnia charakteryzuje stanowisko cywilizacyjne obu narodów, zwłaszcza jeżeli, wyłączywszy z całej plejady ludów germańskiego szczepu — państwo pruskie, — porównamy oddzielnie rozwój jego z rozwojem cywilizacyjnym Francji.

Zakonnicy N. M. Panny szerzący ogniem i mieczem wiarę Chrystusa pomiędzy pruskiej i litewskiej ziemi mieszkańcami, byli protoplastami z krwi, ciała i ducha dzisiejszych szermierzy „kulturkampfu“ z tą tylko różnicą, że współcześni potomkowie Krzyżaków mają dziś do swego rozporządzenia nieznane podówczas narzędzia cywilizacyjne jak np. iglicówki, armaty Kruppa i t. p. oraz tak niewinne środeczki jak np. prawo o szkolnictwie, Maigesetz'y, kary pieniężne i inne genjalne wynalazki nowoczesnego rozumu stanu.

Doprawdy patrząc się z boku, jak dzisiejsi pionierowie cywilizacji pod wzniosłą egidą postępu odbierają podbitym przez siebie narodom, jedną po drugiej, wszystkie narodowe świętości, jak z „narodowo-liberalnym“ sztandarem w ręku depcą wszystkie prawa historyczne społeczeństw i zadają widomie kłam wszystkim liberalizmu zasadom, wówczas przychodzi na myśl mimowoli Mickiewiczowski opis średnio-wiecznego Krzyżaka:

W złocistym hełmie i w błyszczącej zbroi
Niemiec na koniu nieruchomy stoi,
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec
Nabija strzelbę i liczy różaniec!...

Czyż ten typ przedkilkuwiekowy nie jest dziś wierną podobizną tego narodu, który za hasło postawił sobie: „Drang nach Osten!“ i z okiem pożądliwie utkwionem w Słowiańszczyznę, liczy wprawdzie nie różańce, ale.... franki w ostatniej zdobyte wojnie, kombinując, w jaki sposób najlepiej je zużytkować, aby forpoczty germanizacji jak najdalej na Wschód wysunąć?....

Cała historja Prus jest jedną wielką tragi-komedją, której prolog rozegrał się na polach Grunwaldzkich, a ostatni akt rozpoczął się pod Sedanem.

Jesteśmy w pośrodku najbardziej interesującego ustępu. Baczność!... Oto zasłona się podniosła!... Artyści występują na scenę. Trójwłosy bohater gra „pierwszego kochanka“ w kirassjerskim mundurze; rolę „poczciwego ojca“ przyjął na siebie sam siwowłosy monarcha, primadonną jest „jedność niemiecka“, „czarnym charakterem“ rozumie się — kler, a rolę „statystów“ spełniają z namaszczeniem, godnem lepszej sprawy — koronowani wassale rzeszy.

Publiczność europejska klaszcze zapamiętale. Książę — kochanek po każdym ustępie z frenetycznem przywoływany uniesieniem. Poczciwy paradyz oburza się na „czarny charakter“ — a „klaka“ reprezentowana przez „gadzinową prasę“ spełnia godnie swoją powinność, dzielnie przyczyniając się do powodzenia sztuki....

Widowisko trwa ciągle.... i Bóg wie kiedy i jak się skończy!...

Ale przenieśmy się z tych wyżyn scenicznej sztuki na padół prozaicznych kwestyj.

Obejmując okiem cały perjod rozwoju politycznego i socjalnego Prus, musimy dojść do przekonania, że zacytowane na początku zdanie o „idei i iglicówce“ w zastosowaniu do Prus jest poniekąd uprawnionem. Prusy, jeżeli wyłączymy ostatni 20letni perjod naukowego rozwoju, nie przedstawiają w historji swej żadnego faktu, któryby w dziejach umysłowego rozwoju Europy miał donioślejsze znaczenie. Natomiast Prusy pracowały usilnie nad ustaleniem swojej państwowej jedności i wzmocnieniem swej politycznej potęgi.

Dla dopięcia tego celu — nie przebierano w środkach — przechodząc kolejno od intryg gabinetowych do fałszowania własnych i obcych pieniędzy.

Charakterystyczną cechą uwydatnioną w historji prusko-niemieckiej jest praktyczność tj. zużytkowanie i przerabianie tych wszystkich wytworów postępu, które inne narody długoletnią pracą lub krwią własną wywalczały dla ludzkości.

Ten brak oryginalnej działalności w historji prusko-niemieckiej cywilizacji uwydatnił najlepiej jeden z poetów niemieckich, który w ten sposób odzywa się do swoich współziomków:

„Du Deutsche bist kein Acker,
Du bist der Dung der Welt,
Als Würze bist du wacker,
Als Speise schlecht bestellt“....

[1] Zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników na listy niniejsze. Autorem jest pisarz, który w celach naukowych podróżuje od dłuższego czasu po Niemczech, Francji i Anglji, a którego cenne współpracownictwo mamy stale zapewnione. (Przyp. Red.)

Jeżeli teraz wzrok nasz przeniesiemy na cały obszar Niemiec i rozejrzymy się w tem mrowisku politycznem, które przyprowadzało niegdyś do rozpaczy każdego nauczyciela geografji, to musimy przyznać, że zdanie o „iglicówce“ nie da się w całej rozciągłości zastosować do całych Niemiec. Jakkolwiek bowiem w przyszłym liście postaram się wykazać, że w historji literatury i sztuki, że w rozwoju idei naukowych, Niemcy dotąd prawie bezwarunkowo ustępowali Francuzom i Anglikom, to jednak nie idzie zatem, abyśmy mieli zaprzeczać wszelkich zasług cywilizacyjnych germańskiemu szczepowi, abyśmy mieli np. zapominać o dwóch wielkich rewolucjach myśli, o Reformacji i o wynalazku druku i o innych może mniej doniosłych, ale zawsze pożytecznych dowodach skrzętnej pracy Niemiec na niwie ogólnego postępu.

Co więcej, trzeba przyznać, że w ostatnich dwóch lat dziesiątkach ruch umysłowy w Niemczech nie tylko że wzmógł się potężnie, ale nawet w niektórych kierunkach pozostawił po za sobą dotychczasowych swoich współzawodników. Nauki przyrodnicze np. stoją dziś w Niemczech daleko wyżej, aniżeli we Francji.

W ogóle biorąc ostatni ten perjod świetnie się przedstawia. Dość przytoczyć takie nazwiska, jak Helmholtz, Mommsen, Dubois-Reymond, Roscher, Liebig itd. (C. d. n)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „Historja Stanów Zjednoczonych“ przez Edwarda Laboulaye'a; „Obowiązek“ przez Juljusza Simona; „Islam w dziewiętnastem stuleciu“ przez Hermana Vambery'ego; — Warszawa r. 1876.

Znany wydawca warszawski Michał Glücksberg, powziął bardzo szczęśliwą myśl przyswojenia literaturze polskiej, kilku arcydzieł zagranicznych, wydanych ostatniemi czasy. Razem wyjdzie dzieł 8 w 12tu tomach. Prócz powyżej wymienionych, których początki znajdują się w pierwszych dwóch zeszytach, w tej dwunastotomowej bibljoteczce zostaną jeszcze pomieszczone dzieła następujące: „Sztuka w związku z kulturą“ przez Maurycego Carriera; „Szkice“ (Essays) przez Lorda Macaulay; „Studja nad kobietą“ przez dr. Reicha; „Współczesna filozofja pozytywna w Anglji“ przez Ribota, i „Plan stworzenia“ przez Agassiza. — Z wydanych dotąd zeszytów przekonujemy się, że przekłady są poprawne. Co zaś do dzieł samych, to należą one do tak znakomitych, że wszelkie pochwały z naszej strony byłyby zbyteczne. Cena wszystkich tomów wynosi w Warszawie 9 rubli. Po wyjściu każdego dzieła z osobna, napiszemy o niem obszerniej.

— O nauce umiejętności politycznych, przez dr. Franciszka Kasparka. Nakładem redakcji „Przeglądu sądowego i administracyjnego.“ — Lwów 1876.

Autor z całą słusznością zwraca uwagę na zupełne zaniedbanie w naszych uniwersytetach nauki umiejętności politycznych, a wykazując jakie ztąd złe płynie, podaje środki zaradcze, które są wcale praktyczne. Rzecz cała napisana jasno i z gruntowną znajomością przedmiotu.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W środę 19go bm. danym będzie w teatrze, na benefis ulubionej artystki panny Marji Deryng, najnowszy utwór hr. L. Starzeńskiego „Czaple pióro“, co podajemy do wiadomości licznych wielbicieli talentu tej artystki.

— W dniu 8. kwietnia odbył się w sali ratuszowej koncert ociemniałych, na rzecz budowy domu przytułku dla niewidomych dziewcząt. Udział w tym koncercie brali sami wychowańcy tej filantropijnej instytucji i do zadziwienia wywiązali się ze swego zadania. Szczególniej: Beethovena, romanza F. dur na skrzypce, odegrana przez p. Tadeusza Masłowskiego, rokującego bardzo piękną przyszłość, i Gounoda medytacja na pierwsze preludium Bacha, wypadły pod każdym względem świetnie. Chóry i deklamacja również zjednały sobie grzmiące oklaski publiczności, której, od początku do końca koncertu, towarzyszył nastrój dziwnie rzewny i podniosły. Istotnie widok tylu nieszczęśliwych, których kalectwo do najcięższych klęsk policzyć można — nie mógł oddziałać inaczej. Koncert rozpoczął się prologiem pióra Władysława Bełzy, w którym autor przeszedł koleje życia tych nieszczęśliwych istot, a zwracając się myślą do tych dziewcząt ociemniałych — rzuconych w świat bez opieki i ręki przewodniej — następującemi słowy zakończył swoje przemówienie:

Lecz gdy kobieta samotną zostanie,
Jak łódź bez wiosła na wzburzonej fali,
Gdy w młodej piersi namiętność się pali,
Skora na każde szatana wołanie;
Gdy ślepa — ślepą zapuści się drogą,
Gdy świat wyzyska jej szał najboleśniej:
Gdzież jej ucieczka?... O! zamilknij pieśni
Bo tu łzy tylko godnie mówić mogą.

— W poniedziałek 10 bm. odbyło się w teatrze przedstawienie amatorskie, urządzone staraniem akademików lwowskich, z przeznaczeniem czystego dochodu na pomnik śp. Seweryna Goszczyńskiego. Udział publiczności był dość znaczny; program przedstawienia urozmaicony śpiewami solowemi pp. Gabbi, Marco i p. Köhlera wykonany został wcale zadowalająco. Ulubiony nasz artysta-śpiewak p. Köhler odśpiewał z młodzieńczą i prawdziwie polską werwą, prześliczny polonez Moniuszki ze „Strasznego Dworu“, a zniewolony hucznemi oklaskami, powtórzył go ku największemu zadowoleniu publiczności.

— Komitet wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie posiada, oprócz własnych nakładów, znaczną ilość publikacyj dawniejszych, których rozpowszechnienie między ludem jest bardzo pożądanem. Podajemy zatem spis i ceny tych publikacyj: 1. Historja cudownego obrazu N. Panny Częstochowskiej, kosztuje z obrazkiem (chromolitografja) 12 cent. bez obrazka 6 cent.; 2. Historja Św. Wojciecha 6 cent.; 3. Żywoty pięciu świętych pustelników (opowiadanie historyczne z czasów Bolesława Chrobrego) 4 cent.; 4. Władysław Łokietek, opowiadanie historyczne 6 cent.; 5. O prześladowaniu kościoła rzymsko i grecko-katolickiego przez schizmę 7 cent.; 6. Opowiadanie o ks. Piotrowiczu, obrońcy św. wiary katolickiej 3 cent.; 7. Historja o świątobliwym Kazimierzu Korsaku, który ze szlachcica został wieśniakiem (opowiadanie historyczne z czasów Zygmunta Augusta) 5 cent.; 8. Bartosz z Trembowli (opowiadanie historyczne z czasów Władysława Jagiełły) 7 cent.; 9. Opowiadanie Antka o gospodarstwie na Sląązku (wykład popularny kilku głównych zasad racjonalnego gospodarstwa rolniczego) 6 cent.; 10. Warsztaty i fabryki (popularne wykłady ekonomji społecznej, przeznaczone dla ludności miejskiej) 12 cent.; 11. Opowiadania pana Walentego (zbiór najciekawszych wiadomości o przyrodzie i przemyśle, oprawne (138 str. druku z wielu drzeworytami) 35 cent.; 12. O jenerale Józefie Bemie, opowiadanie historyczne 10 cent.; 13. Historja o ucisku kościoła grecko-katol. w dyecezji chełmskiej 8 cent.; Publikacje wymienione pod l. 1. 2. wyszły nakładem galic. Towarzystwa gospodarskiego, a wymienione pod l. 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 i 13 nakładem Alfreda Młockiego. Dziełek tych można nabyć w biórze komitetu przy ulicy Mickiewicza l. 8 tudzież we wszystkich księgarniach lwowskich. Przy zakupnie tych publikacyj w wartości łącznej przynajmniej 1 złr. w. a. bióro komitetu przesyła takowe pocztą, biorąc na siebie koszta ekspedycji i opłat pocztowych. Przesłanie pieniędzy można uskutecznić przekazem pocztowym, adresowanym do bióra komitetu, lub też zażądać przesłania dziełek za pobraniem należytości przy odebraniu posyłki z urzędu pocztowego. Bióro komitetu otwarte od godziny 11 do 1 w południe.

— W Hôtel Drouot w Paryżu, wkrótce mają być wystawione na sprzedaż trzy arcydzieła Rubensa „Mag grecki“, „Mag azjatycki“ i „Mag etyopski“. Trzy te obrazy wybornie zachowane, całkowicie wykonane ręką mistrza i pochodzące z najświetniejszej jego epoki, były malowane przez Rubensa dla rodziny jego żony, w której posiadaniu też pozostawały dotychczas. Ostatnie trzy te arcydzieła były własnością hrabiny B. pochodzącej z rodziny znakomitego malarza.

Szkolnictwo.

— Dr. L. Wróblewski został docentem fizyki w Uniwersytecie Strasburgskim. P. L. Wróblewski jest bratem p. Ed. Wróblewskiego, powszechnie cenionego chemika, który już od kilku lat wykłada chemję w Instytucie technologicznym w Petersburgu.

— P. Bruno Abakanowicz, został mianowany docentem statyki wykreślnej w Akademji technicznej we Lwowie.

— Dr. Juljusz Zawilski został docentem fizjologji doświadczalnej w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Gospodarstwo.

— Połów ostryg w zatoce arcachońskiej na zachód od Burdegali (Bordeaux). W r. 1873 złowiono 42,342.250 sztuk, w r. 1874 sprzedano prawie dwa razy tyle, albowiem 82,345.233 sztuk. Miejsc przeznaczonych do hodowli ostryg okazało się za mało; wiele zatem rozpłodku przeniesiono do Marenny, Oléron i SS. Jean de Luz. Dnia 1. stycznia 1875 r. było w zatoce arcachońskiej miejsc przeznaczonych do hodowli ostryg 2,087, w Auray na wschód od Lorient 263.

— Jedwabnictwo i pszczelnictwo we Francji. Według ostatniego raportu urzędowego, w r. 1873 wyprodukowano we Francji kokonów 9,883.580 kilogramów przedstawiających wartość brutto 68,614.802 franków. Liczba ulów czynnych wynosiła w tymże czasie 2,072.689. Ule te dały 10,587.090 kilogr. miodu, mających wartość 14,772.780 fr. i 2,736.252 kilogr. wosku przedstawiających wartość 7,320.059 fr. Te więc dwa źródła przyniosły w ciągu jednego roku przeszło 90,000.000 franków.

— Wina Bordeaux zawdzięczają swe własności terapeutyczne znacznej ilości winianu żelazawego. Jeden litr Medocu zawiera przeciętnie 18 centigramów winianu żelazawego, czyli 63 miligramów tlenku żelazawego. Pod tym względem wino Bordeaux nie ustępuje najznakomitszym źródłom żelazistym. Ze wszystkich źródeł w Spa, tylko prince-de-Condé, jest bogatszem w żelazo; wszystkie inne nie zawierają więcej nad 42 miligramów tlenka żelazawego w litrze wody.

Podróże.

— Od pułkownika Gordona, dowódcy wyprawy naukowej do ekwatorialnego Egiptu, wysłanej tam z polecenia wicekróla Egiptu, nadeszły wiadomości sięgające 29go grudnia rz. Spuściwszy w Duffli na wodę kilka statków, postanowił był Gordon udać się lądem, lewym brzegiem Wiktorji-Nilu, przez Fatico do Anfiny, ztamtąd zaś dalej do Mruli, stolicy Kaba Regi. Ztąd zamierzał ruszyć do Magunga nad Albert-Nyanza, następnie powrócić do Duffli. Na lipiec lub sierpień br. zapowiada przybycie do Anglji.

— Oktawiusz Stone, jeden z badaczy w Nowej Gwinei, zapuścił się z portu Moresby na 20 mil w głąb kraju. Napotkał wzgórza i znalazł tam kilka drzew ciekawych, różniących się pod wieloma względami od znanych mu już gatunków nadbrzeżnych.

— Dzienniki szwedzkie donoszą, że wyprawa na czele której stają doktorowie Retzius, Montelius i Tegner, ma opuścić w d. 15 września Sztokholm i udać się do Azji środkowej dla archeologicznych poszukiwań. Koszta owej ekspedycji, obliczone na 39.000 koron, ponosi zupełnie ze swojej kieszeni pewien bogaty właściciel okrętów z Gotenburga.

Wynalazki.

— *Le Progrès* donosi: „Od kilku dni publiczność tłumnie przygląda się doświadczeniom bardzo ważnym w Liége, robionym przez p. E. Lambotte z nową machiną oświetlającą. Machina ta potrzebuje być poruszaną siłą jednego tylko konia, a zajmuje połowę miejsca machiny do szycia, wyrzuca światło o sile 800 świec, a są modele na 1.000, 10.000, 15.000 świec, a co najdziwniejsza, że światło to kosztuje tylko 5 centimów na godzinę. Machina ta ustawiona na próbę w tartaku p. Legrand, pozwala robotnikom pracować jakby za białego dnia, a to bez znużenia oczu, co nadzwyczajne wzbudziło w obecnych zdumienie. Nabyta dla węglarń w Gosson-Lagusse służy tam do oświetlenia. Spodziewać się przeto należy, że system ten oświetlania rozpowszechni się, zwłaszcza, że usuwa wszelką obawę pożaru.“

ROZMAITOŚCI.

— Pomiędzy licznemi wyspami Archipelagu Sundajskiego, gdzie nad wyraz bujna przyroda rozwija niezrównany przepych i bogactwo całej swej twórczości podzwrotnikowej, wyspa Borneo jest największą i najpiękniejszą, ale także nam Europejczykom stosunkowo najmniej z wszystkich znaną, czego głównym powodem samo jej ukształtowanie naturalne. Podobna jest do grószki, której koniec z szypułką zwrócony na wschód północny. Na około jej brzegów sterczą liczne wysepki większe i mniejsze, pokryte tak olbrzymią roślinnością, na jaką tylko niebo tropikowe zdobyć się może. Wybrzeża Bornea zarosłe są pasmem lasów dziewiczych na kilka mil szerokiem, a przeplatanem obszernemi polanami bagnistemi. Ostatnie powstają skutkiem licznych ramion rzek, ze środka wyspy do morza uchodzących, które znowu jedyną stanowią drogę w głąb' wyspy wiodąca. Cała powierzchnia Bornea wynosi około 13000 kwadr. mil geogr. z czego zaledwie połowa do uprawy zdatna, gdyż ku środkowi terren podnosi się stopniowo i zamienia w gęstolesiste wzgórza, tu i owdzie w dolinach pustynie piaskowe, dalej znowu łańcuchy gór odwiecznemi lasami pokryte, a w środku wyspy niekiedy 2500 stóp wysokości dochodzące W północno-wschodniej ich części są nawet szczyty na 10000 stóp wystrzelające, jak n. p. w Kini-Balu. W słodką wodę jest Borneo dostatecznie zasobne i posiada klimat przyjemny i zdrowy, choć właśnie równik przecina wyspę; powietrze tam zawsze w miarę wilgotne a w Pontianak termometr Reaumura w samo południe rzadko okazuje więcej jak 27 stop. gorąca. Temu też szczęśliwemu połączeniu wilgoci z mierną ciepłotą zawdzięcza Borneo ową niezmiernie bogatą florę tak pod względem olbrzymich krzewów jak cennych drzew owocowych, oliwnych i kamforowych, których produkta stanowią w handlu artykuły nader poszukiwane. Tej bujnej roślinności odpowiada równie znakomicie rozwinięty i bogaty świat zwierzęcy, że wspomnimy tylko słonie, nosorożce, bawoły, tygrysy, pantery, małpy, rozmaite gatunki jeleni, krokodyle, węże, rzadkie ryby w wodach, w powietrzu ptaki z opierzeniem barw cudnych; słowem, chcąc wyszczególnić jeno po nazwisku wszystkie zasoby naturalne tej wyspy błogosławionej, trzeba by zapisać co najmniej jeden tom spory. Dodamy jeszcze, że wielkie pokłady szlachetnych kruszców i kamieni są nawet dotychczas mało eksploatowane, a przedstawiają wartość nieobliczalnej sumy. To też Borneo od wieków jest celem pożądanym wędrówek licznych przybyszów z daleka. Najwięcej między nimi było zawsze Malajczyków i Chińczyków, którzy z brzegów wyparłszy krajowców Dayak'ów w głąb wyspy, zakładali tu malajskie państwa feudalne stojące potem pod opieką kilku sułtanów. Z drugiej strony Anglicy i Holendrzy zakładali na wyspie swe osady rozległe. Krajowcy Dayak'i dzielą się na trzy wielkie grupy: dziesięć plemion lądowych Dayak'ów, dziewięć plemion morskich Dayak'ów i Malanau'ów. Wszystkie te plemiona są pięknie zbudowane, silne, pojętne, odważne, wojownicze, a nawet bardzo zręczne, gdyż same między sobą zporządzają sobie potrzebne do życia artykuły i sprzęty, co więcej umieją wyrabiać różne kunsztowne przedmioty, prześliczne miecze i puginały. Mimo to wszystko jednak — są na poły dzikie. Tatuują się zawsze jeszcze, ostrzą sobie umyślnemi piłkami zęby i malują je na czarno; w uszy zakładają ciężkie klocki drzewa, ażeby je naciągnąć tym sposobem i zrobić jak największemi na pozdłuż, poczem noszą w nich pierścienie mosiężne, muszle, kły z odyńców, zęby aligatora, i t. p. w ich przekonaniu ozdoby cenne. O suknie nie potrzebują się troszczyć wiele dzięki łagodnemu klimatowi; u mężczyzn całem ubraniem kawał różnobarwnej szmaty, tschawat zwanej, zawiązany jak fartuszek naokoło bioder, u kobiet saragon, coś niby nakształt kaftana europejskiego, podczas uroczystości zaś zarzutka bez rękawów, z przodu otwarta. Nie więcej niewybredni są Dayak'owie pod względem mieszkań, budowanych grupami na palach 20 — 30 stóp wysokich a połączonych z sobą rodzajem platformy. Budowle te są zarówno sztuczne jak odpowiadające wyśmienicie warunkom kraju i klimatu. Niektóre domy są 100 i do 500 stóp długie a takie mieszczą zwykle kilkanaście rodzin, które odgradzają się między sobą plecionemi matami i żyją w ścisłej z sobą zgodzie. Wstęp do tych domów napowietrznych ułatwia zazwyczaj pień drzewa, w schodki karbowany, zastępujący doskonale drabinę. Gdzieniegdzie, w pobliżu skał lub wzgórza, mają w tym celu lekkie mostki zwodzone, któremi dostają się z lądu na platformę i do mieszkań. Rzecz zrozumiała, że zbytku nie znajdzie nikt w mieszkaniu Dayaka, bo on zajmując się jedynie polowaniem, połowem ryb, czasem morskiem korsarstwem, rzadko który uprawianiem roli, obniża swe wymagania do najniezbędniejszych potrzeb życia. Oprócz mat, z siatkami przeciw moskitom, zamiast łóżek, całe jego mienie ruchome złożone z kilku skromnych naczyń kuchennych wyrobu własnego, z broni ręcznej i przyrządów rybackich, a w końcu kilku koszyków plecionych a zastępujących spiżarnię. Celem i korzyścią tych budowli napowietrznych jest chronienie mieszkańców przed powodzią, zwierzem dzikim i napadami nieprzyjaciół, to też każde domostwo dla mieszkańców istną twierdzą bezpieczeństwa. Nawet Europejczycy z bronią białą lub palną w ręce nic a nic wskórać nie mogą, gdy chcą kiedy rozmówić się serjo z zuchwałymi korsarzami i namiętnymi amatorami głów ludzkich, zostaliby bowiem przyjęci gradem dobrze wymierzonych bolców zatrutych — a kulkami odpowiedzieć nie potrafiliby skutecznie. Muszą dopiero ze wzgórzy operować kulami działowemi, przyczem oczywiście całe osady giną w gruzach. Wspomniane wyżej amatorstwo odcinania głów ludzkich gra pomiędzy Dayakami niepoślednio honorową rolę, na kształt jakiegoś sport'u dżentelmeńskiego — z początkiem zaś bieżącego stulecia grasowało między krajowcami istnie jak zaraza straszna; nie jeden niewinny i spokojny utracił życie, bo dzikiemu Dayak'owi brakowała głowa ludzka do kompletu trofeów zwycięskich. Dotychczas trwa jeszcze między nimi zwyczaj obydny, że zdobytemi głowami zdobią mieszkania swoje żywiąc przytem niezłomne przekonanie, iż taka krwiożerczość najbardziej ich bóstwom opiekuńczym miła a pożądana. W ostatnich czasach Anglicy zabrali się nader energicznie do wykorzenienia tej zabawki okrutnej, i powiedzieć już można, że zabiegi ich w tym kierunku odnoszą powoli korzyść zamierzoną. Każdy dorosły Dayak jest groźnym wojownikiem, pełnym dzikiej odwagi, szalonej zapamiętałości, i dziwnej jakiejś obojętności dla życia a pogardy śmierci. Uzbrojeniem jego łuk i strzały, grot do ciskania ręką na mniejszą odległość, miecz, puginał obosieczny — przedewszystkiem atoli groźny, choć takim nie jest pozornie, t. z. sampitan t. j. dmuchawka 6 — 7 stóp długa, zakończona ostrym bagnetem. Z tej to dmuchawki wprawny Dayak, na polowaniu czy wojnie, szle przeciwnikowi na oddalenie 40 do 80 kroków bolec długości 4 — 5 cali, zporządzony z kolców pewnego gatunku kaktusów, na jednym końcu zaopatrzony kitką z bawełny lub włókien roślinnych, na drugim zatruty jadem z t. z. drzewa Upas, wyrastającego obficie na wyspie Borneo. Trucizna wspomniana działa tak okrutnie, że zraniony bolcem człowiek, jeśli maluczkiej ranki nie wyssie natychmiast, nie wypali, a potem nie leczy się czas dłuższy staranie, na razie w przeciągu godziny umiera niechybnie. Ogólną liczbę tych krajowców podają obecnie na 300 tysięcy głów.

— Połączenie Atlantyku z Cichym Oceanem za pomocą kanału, było już oddawna zagadnieniem, nad którego rozwiązaniem natężały się umysły różnych mężów stanu, marynarzy i bogatych przemysłowców. W ciągu zeszłego roku rząd amerykański zabrał się energicznie do rzeczy, i w tym celu wysłał komisję' złożona z inżynierów i zdolnych marynarzy, ażeby wyszukali najodpowiedniejszy, na przekopanie kanału, terren. Obszerne sprawozdanie komisji, podane prezydentowi w Waszyngtonie, zaleca z pomiędzy wszystkich opatrzonych kierunków, jako najstosowniejszą i najkorzystniejszą „linję Nicaragua;“ tym sposobem zaniechanoby pierwotnego pomysłu wprawdzie drogi krótkiej ale za to trudniejszej do wykonania ze względu na fizyczne przeszkody i koszta olbrzymie, mianowicie przekopania cieśniny Panama. Że na każdy wypadek, olbrzymie oszczędzenie odległości, czasu, pieniędzy i ryzyka, wykonany pomysł przyniósłby w zysku, tego podobno dowodzić nie potrzeba; pozostaje więc jeno wykazać, z jakich powodów właśnie owa droga wspomniana byłaby najlepszą. Sprawozdawcy tłumaczą tę rzecz w ten sposób: „Linja Nicaragua jest jedyną rutą, której klimat nieszkodliwy dla zdrowia. Na linjach krótszych wpływ okolic gorących i zarazem błotnistych oddziaływałby niechybnie na robotników tak fatalnie, że co najmniej połowa ich wyginęłaby, jeszcze przed ukończeniem robót. Dalej, jedyna to linja na której wszędzie znajduje się woda w dostatecznej ilości. Jezioro Nicaragua leży na tej przestrzeni, więc będzie można z niego wygodnie i ustawicznie regulować podług potrzeby stan wody w kanale. Inne ruty mają oprócz tego braki różne; w większej części przecinają okolice zupełnie puste, a niepodobna o nich spodziewać się, by w przyszłości zaludnić i rozwinąć się mogły. Przeciwnie przestrzeń idącą przez Nicuragua, komisja przedstawia jako istny raj Ameryki Środkowej. Koszta proponowane wymagają nakładu 60 miljonow dolarów, która to suma, w stosunku do uzyskanych nią korzyści, byłaby wcale skromną. Szczególnie podniesiona jest jedna okoliczność, ale o tak wielkiej doniosłości, że już sama wykazuje ogromne zyski przedsiębiorstwa kolosalnego. Idzie mianowicie o transport do Europy produktów Kalifornji. Liczne statki przywożą rok rocznie olbrzymie zapasy zboża do Europy. Obecnie takie transporty okrążają przylądek Horna a wystawione są zawsze na wielkie niebezpieczeństwa skutkiem burzliwowości morza w tych stronach, i na wielkie koszta. Wszystkie te ważne względy odmieniłyby się korzystnie przez utworzenie takiego kanału. Komisja kończy wyrażeniem nadziei, że Stany Zjednoczone nie dadzą się ubiedz obcemu jakiemu mocarstwu w dokonaniu tego doniosłego dzieła, i że kongres poweźmie jak najrychlej stanowczą w tej mierze decyzję.“ Piękna to rzecz, ani słowa, dla Ameryki, ale co powiemy my w takim razie, my, którzy przeważnie żyjemy z eksportu zboża, gdy Ameryka zasypie literalnie Europę ziarnem dobrem, a taniem skutkiem ilości ogromnej.

— Guano peruwiańskie nie zostało wyczerpanem, owszem coraz świeże odkrywają pokłady. Prefekt Tarapaki w południowem Peru, Tiron, posłał na wystawę chileńską próby guana odkrytego pod warstwą zwiru 15 do 25 dm. grubą. Zdaje się, że niezmierne warstwy saletry wydobywanej na wielkie rozmiary powstały z guana pod wpływem wody morskiej, i ze tak pod zwirem jako też pod saletrą w wielu jeszcze miejscach zostaną odkryte pokłady guana. O powstaniu guana Dr. Karol Berg, inspektor muzeum publicznego w Buenos Ayres w sprawozdaniu swojem z podróży do Patagonji i po wyspie Isla de los Leones przy ujściu rzeki Rio Santa Druz, powiada, że do tworzycieli guana na tej wyspie należy zaliczyć kormorany (Phalacrocorax carunenlatus.) Przez cały rok każda parka składa podczas spoczynku odchody swoje na jednem miejscu. Tak utworzony pagórek służy jej potem za gniazdo. Gniazda te wysokości stopy widzieć można setkami dosyć regularnie o $1^1/_2$ stopy od siebie odległe. Jeżeli się to działo i dzieje setkami lat na pewnej przestrzeni, łatwo pojąć, że cała pokryje się wreszcie dosyć grubą warstwą tych odchodów. Że świeże pokłady guana ogrzane słońcem zabijającą wydają woń, każdy pojmie. Posucha zaś w onych stronach zapewnia tym pokładom długie trwanie. Guana peruwiańskiego ładują obecnie w zatoce Independencja dziennie 16.000 cetn., w Pabellon de Pica dziennie 30.000 cetn.

Od Redakcji.

S. w Kołomyji. Wiersz przysłany drukowanym nie będzie.

Prosimy Szanownych abonentów, którzy dotąd nie przysłali przedpłaty, aby to uczynili w ciągu bieżącego tygodnia, gdyż w razie przeciwnym musielibyśmy im wstrzymać przyszły numer.

Treść Nr. 16.

Nauka wymowy w szkołach; *Chrzest Polski* powieść J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego (c. d.); *Mieczysław Romanowski* studjum A. Kuliczkowskiego (c. d.); *Messjanizm i Towiańszczyzna* przez Cz. Pieniążka (c. d.); *Przygody w Indjach podróżnika Tomasza Anquetil* (c. d.); *Z dziedziny nauk przyrodniczych: połów ptaków* przez Dr. Z. Rościszewskiego; *Życzenie* wiersz Marji B., *Tak być musiało* powieść Józefa Rogosza (c. d.); *Piśmiennictwo polskie* B. Czerwieńskiego (dok.); *Pogadanka* Jana Lama; *Piśmiennictwo zagraniczne* przez K. (c. d.); *List z Krakowa; Z pola wielkich wynalazków: Volumometr, nowy przyrząd fizjologiczny*; *Kartki z obczyzny* przez Sokoła; *Bibljografja. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Od Redakcji.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).